

# BLUSZCZ

*Społeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 2 CZERWCA 1928 ROKU

NR 23

TREŚĆ NUMERU: Co wy nam, a my wam z siostrzaną miłością dać możemy — *Natalja Jastrzębska*. Siostry zza morza — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Powitanie” — *Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa*, Stary kraj — *Róża Czechańska-Heymanoza*. Kryształowa kula (c. d.) — *Max Wit*. Ś. p. Bronisława Ostrowska — *St. Podhorska - Okołów*. Dzyngiligill — *Ewa Szelburg*. Z książek — *Z. M. i S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i Z. M.* Wykształcenie zawodowe kobiet — *Zofja Miszewska*. O gościnności coś niecoś — *H. S.* Plotka — *W. D.* Podwieczorek w maju — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady, Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Kostjумы i płaszcze kąpielowe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Polowanie” — *Teffi* — autoryzowany przekład z rosyjskiego *Z. M.* Arkusz wzorów.

## CO WY NAM, A MY WAM Z SIOSTRZANĄ MIŁOŚCIĄ DAĆ MOŻEMY

Zapowiedziana na początku b. r. „pielgrzymka” polek amerykańskich do ojczyzny — stanęła na polskiej ziemi i przybyła już do jej stolicy.

Zorganizowana staraniem Związku Polek w Ameryce wycieczka zadzierzgnie jeszcze jeden węzeł łączności pomiędzy emigracją, a krajem, wzmocni wzajemną miłość i wspólną pracę.

Staraliśmy się usilnie, aby przyjąć drogich gości, jak tylko można najlepiej. Podczas bytności w Warszawie, w styczniu, przewodniczącej związku, pani Emilji Napieralskiej, zawiązał się komitet przyjęcia rodaczek z Ameryki. Protektorat honorowy Komitetu objął J. E. ks. Kardynał Kakowski, przewodnictwo i wiceprzewodnictwo — J. Szebekówna i Marja Rodziewiczówna; nadto weszły w skład Komitetu liczne i zasłużone działaczki społeczne; prasa stolicy i całego kraju szeroko propagowała jego poczynania. Program pobytu gości w Warszawie ułożono tak, aby mogli oni zwiedzić pamiątki miasta, zapoznać się z tętnem jego życia politycznego, społecznego i artystycznego — a także ze społeczeństwem, które z upragnieniem oczekiwało ich przybycia.

Podczas akademji, rautów, przyjęć i wycieczek nastąpi jeszcze serdeczniejsze zbliżenie, ściślejsza wymiana myśli i napewno pozostawi we wspólnej pamięci niezatarte wrażenie.

Nie wszyscy jednak mieszkańcy stolicy i kraju będą mogli, pomimo szerszych chęci, wziąć udział w tych uroczystościach, a chodzi właśnie o to, aby

wytworzyć jaknajściślejszą łączność pomiędzy całym społeczeństwem polskim, a jego emigracją.

Nie każdy może osobiście powitać i poznać drogich gości — ale wszyscy powinni zainteresować się najżywiej faktem ich przybycia: przeczytać w prasie szczegóły ich pobytu i przyjęcia, poznać historję ich działalności na obczyźnie, śledzić postępy i wyniki ich pracy i odczuć żywo wszystkie węzły, które nas łączą.

A węzły te są bardzo silne, skoro setki i tysiące kobiet, z których wiele, urodzonych w Ameryce, poraz pierwszy przybywa do kraju — czują się polkami, pielęgnują swój język i narodowość, łączą się i organizują na obcej ziemi w Związek polek, który położył już ogromne zasługi w pracy dla oddalonej ojczyzny podczas jej walk o niepodległość.

„Związek nasz — to pierwsza i jedyna wielka instytucja kobiety polskiej w Ameryce, nasza „Alma mater” — gmach serc kobiet polskich. Celem jego jest stworzenie na wychodźstwie przystani narodowej, dla krzewienia ideałów i ducha przodków, utrzymania łączności z ojczyzną, od której ciągle i pilnie nasłuchujemy wieści, łączymy się z nią we wszystkich bólach, radościach i pracach, dążymy do niej, jak do matki, po pokrzepienie serca“.

Temi słowy określiła działalność Związku jego przewodnicząca, wielka działaczka emigracji — p. Napieralska. Treść tych pięknych słów przebija ze wszystkich poczynañ organizacji, jest motywem jej obrad,

sejmów związkowych, nicią przewodnią jej organu prasowego — „Głosu Polek“.

Zasługa to ogromna, tem większa, iż przez całe lata niewoli, potem wojny, a następnie przez pierwsze lata organizacji powojennej — nie zawsze mogliśmy sprostać tym zadaniom, które inne — wolne i postępowe kraje wypełniały w stosunku do swych kolonij emigracyjnych.

Teraz przynajmniej należy zabrać się do tego ze zdwojoną energią, utworzyć stały i silny kontakt i wzajemną wymianę prac i wartości.

Od drogich naszych gości-rodaczek możemy się wiele nauczyć. Stworzyły one organizację liczebnie tak silną, jakiej my w kraju nie posiadamy: 42 tysiące członkiń! Zorganizowana z amerykańską sprężystością, energią i praktycznością, operująca milionami dolarów, posiadająca własne, wspaniałe gmachy, w których odbywają się zjazdy, sejmy, obchody, która zapewnia członkiniom opiekę nie tylko moralną, ale i materialną, ubezpiecza je we wszystkich praktykowanych formach, wypłaca rodzinom zapomogi pośmiertne, organizuje członkinie „od kolebki do grobu“, gdyż już od chwili urodzenia, przyjmuje dzieci, tworząc potem z podrastających dziewczynek organizacje młodzieży, t. zw. „wianki“: polskie serduszka, łączone przez ciąg całego żywota w pielęgnowaniu ducha polskiego, miłości i wiary!

Jest co podziwiać, jest czemu przyjrzeć się, z czem zapoznać! to też pierwszym krokiem wspólnej pracy po obecnej wizycie polek amerykańskich powinna być wycieczka z Polski do Ameryki.

Odwiedzić Was trzeba, drogie siostry, zobaczyć, dotknąć się Waszej pracy na gruncie, nauczyć Waszej organizacji — poznać te spośród Was, które nie mogły przybyć do Polski.

A zarazem pomyśleć o tem, aby zaspokoić, zadowolnić pragnienia, tak pięknie wyrażone przez przewodniczącą Związku, a odczuwane przez jego członkinie: — „pokrzepienia serc“!

Polki amerykańskie ciągle i pilnie nasłuchują wieści z ojczyzny. Musimy dać im je hojną dłonią. Wytworzyć przebywający ocean gorący prąd, duchowy golfstrom stałej łączności. Przy dzisiejszych warunkach komunikacyjnych, dla których przestrzeń pra-

wie nie istnieje, będzie to rzeczą niesłychanie łatwą. Nie z prasy amerykańskiej, lub zachodnio-europejskiej czerpać winny nasze rodaczki wiadomości o tem, co się dzieje w Polsce, lecz z naszych korespondencyj, wysyłanych bezpośrednio z Polski do ich pism, które informować je powinny obszernie o życiu politycznym, społecznym, o literaturze, sztuce, sporcie i t. p.

Wszystkie stowarzyszenia kobiece niech nawiążą wymianę listów ze Związkiem, przesyłając sprawozdania i wzajemnie je otrzymując.

Nadto pomyśleć należy, aby stale odwiedzali organizację nasi prelegenci, artyści; ułatwić bibliotekom Związku dopływ czasopism i książek, teatrom — sztuk z kraju.

Ta strona działalności jest niezmiernie ważnym zadaniem macierzy w stosunku do emigracji. Ameryka zapewnia rodakom naszym wszelkie swobody obywatelskie, większości z nich pozwala zdobyć dobrobyt materialny, daje świetne wzory organizacji i pracy, impuls energii — ale owoców kultury polskiej dać im nie może!

To nasze, tu, zadanie.

Dotychczas nie zrobiono prawie nic w tym kierunku. Nie można, bowiem, brać w rachubę nielicznych występów wielkich sław artystycznych, które w innych zupełnie celach odwiedzają Amerykę.

To zasilenie kulturą polską naszych rodaków amerykańskich należy poprowadzić jaknajintensywniej. Zapewnić „przystani narodowej“ Związku polek stały dopływ, bezpośrednio z ojczyzny idący.

Rozumie się samo przez się, że akcja taka musi objąć szerokie koła społeczne, musi być prowadzona przy poparciu rządu, zorganizowana planowo i skoncentrowana w specjalnej instytucji wykonawczej; ale inicjatywę jej dać powinny stowarzyszenia kobiece, stać się jej osią i głównymi pracowniczkami.

Wytworzyć i utrzymać stałą łączność i stałą współpracę ze Związkiem polek w Ameryce jest wielkim i pilnym zadaniem wszystkich stowarzyszeń kobiecych w Polsce.

Oby początki tej akcji mogły powstać już teraz, podczas pobytu naszych drogich gości w ojczystej stolicy!

Natalja Jastrzębska.



M. H. SZPYRKÓWNA

## SIOSTRY Z ZA MORZA

Pielgrzymka.

Zdarzyło mi się być na jednym z zebrań przygotowawczych ku powitaniu Polek z Ameryki. I wyłoniła się kwestja, czy odpowiedniem jest, aby organizacje, których sztandary mają znaki kościelne, wyszły na spotkanie wycieczki?

I wówczas rozległ się prostujący, przejęty głos:

— To nie jest wycieczka! To — pielgrzymka.

Tak jest! Przyjazd kobiet-polek z Ameryki do wolnej Polski — nie może być wycieczką! Może być tylko zbożną pielgrzymką serc, które, od kraju oderwane, jednak łącznika miłości nie zatraciły — i wracają oto po ciężkich latach doli i niedoli na pokłon Ziemi.

Radosny pokłon, dzięki Bogu! Bo większością wyjeżdżały z rozdartej na trzy zabory ziemi, a wracają do Polski z własnym sztandarem, własnym rządem i własną przyszłością.

Pielgrzymka!

Trzeba być samej w Ameryce, aby to zrozumieć. Trzeba wejść w żelazny tryb tamtego, nowoświeckiego życia, być, jak oni, chwyconym w stalowe szpony maszyny, lecieć, jak oni, piorunami napowietrznych i podziemnych kolei ku zdobyczy, czy upadkowi, ku karjerze, czy ku zagubie—aby zrozumieć, co to jest: tęsknota za starym krajem! Tam wszystko jest inne: często — lepsze, zawsze — wygodniejsze, bogatsze, wspanialsze, bardziej imponujące! Ach, jak bardzo nawet imponujące! Ameryka mierzy na metry, a oblicza na dolary.

Wart jest ten gmach, który wyżej wydeptał sobie drogę w górę po karkach innych dachów, jak człowiek, który robiąc karierę, musi deptać innych, aby się wysunąć w górę! Wart jest ten, kto ma więcej dolarów, jakkolwiekby je zdobył. Ameryka jest ogromna, potężna, szeroka, zachłanna! Połyka, jak rekin małą rybkę, emigranta i przetrawia go w potężnym swoim wnętrzu póty, aż urobi na wzorowego „american citi-zen“. Obywatel amerykański jest naprawdę dobrym obywatelem: nauczy się, jeśli był niepiśmienny, czytać i pisać; nauczy się chodzić, siedzieć, jeść i ubierać się, jak ludzie; zamieszkuje kulturalnie urządzone wnętrza z łazienką, której używa, i jest lojalny wobec przybranej swojej ojczyzny. Ma tylko jeden kardynalny brak: przestaje powoli być polakiem.

I cóż dziwnego? I, pytam, kto miałby serce za to go potępić?

Ja — nie! Możemy boleć nad tem — i możemy temu przeciwdziałać. Więcej: powinniśmy temu przeciwdziałać! Nie mamy prawa odmówić Ameryce wartości — znakomitych przytem wartości! — jakie posiada: ale mamy prawo i powinniśmy przeciwstawić im inne! I na tem musimy zasadzać wpływ nasz i zdobycze.

Jakież wartości ma Polska wobec kraju tak bogatego, tak wspaniałego, tak zresztą humanitarnego, jak Ameryka, która w czasie wojny była istotnie siostrą miłosierdzia narodów?

Wartości odrębne. To, czego Polska ma skarby nieprzebrane, a czego Ameryka nie miała czasu w tej mierze wypracować: Ducha!

Cobym zrobiła, gdybym mogła decydować o przyjmowaniu przez Polskę pielgrzymki Polek z Ameryki?

W wielkiej mierze — to samo zapewne, co zrobi komitet przyjęcia. Zwiedzanie zabytków, pamiątek, rzeczy i miejsc. Ale rytuał niechętnie zrywa kanony. Wycieczki przybywają zazwyczaj tak na krótko, że z przeładowania tworzy się miły zapewne, ale męczący chaos. I może — za dużo się poświęca czasu na rzeczy piękne i wartościowe zapewne, ale — zewnętrzne.

Gdybym chcieć mogła: chciałabym, żeby...

Chciałabym, naprzykład, żeby polki-amerykanki, słyszące wciąż o jakichś składkach na starokrajskie potrzeby i nieraz bardzo ofiarnie na nie łożące, żeby zobaczyły kilka rzeczy dzisiejszych, żywych, budujących polskość naocznie. Chciałabym, naprzykład, żeby dowiedziały się, jak żyje, działa i co daje taka Macierz Polska? Jaki ogrom wspaniałej, twórczej pracy wydało i wydaje to grono ludzi dobrej woli, jakiemu równego nie znaleźlibyśmy i za oceanem, bo tam państwo łoży ze skarbcza miliony na potrzeby oświatowe, a u nas trzeba je wydobyć z ...serc? z wdowich groszy, własnej niedoli odjętych, dla ulżenia niedoli wspólnej! Żeby ktoś im powiedział — ale pięknie! — o obronie Lwowa przez dzieci? Żeby ktoś im pokazał — ale w liczbach! — co zostało zbudowane na przejechanej wzdłuż i wpoprzek przez kilkakrotne najazdy wojenne, powojennej Polsce? Ze skarbcza, w którym był jeden kapitał zasadniczy: szczęście — z odzyskania ojczyzny, przypinające skrzydła siłom, przytłaczanym przez trudności! Żeby ktoś — ale ze znanstwem! — ukazał im las górnośląskich kominów, gotujących w potężnym wnętrzu fabryk potęgę eko-

nomicznej Polski! Żeby ktoś—ale z miłością! — mógł im opowiedzieć koleje naszego dźwigania się, odwalania gruzów, oczyszczania ugorów i budowania na ruinach?

Napewno wielka część tych rzeczy zostanie dokonana. Tak wiele zależy od ciepła, jakim otacza się gościa, który przybywa do domu, niezależnie od zbytku, czy wygód, jakie mu dać jesteśmy w stanie! I jestem zgóry pewna, że to serdeczne ciepło, ta z głębi wspólnej krwi płynąca radość odzyskania bodaj na krótko dalekich sióstr z za oceanu, ogrzeje, opromieni i uzupełni wszystko, co by wydało się naszej pielgrzymce amerykańskiej niepokaźne, powszednie i niekompletne. W każdym i każdej z nas żyje przecież wspólnota, odsuwana przez życie na dalszy plan, ale w chwilach wiekopomnych — czy jest niemi ból, czy radość: łącząca wszystkich w rodzinę i otwierająca sobie nawzajem ramiona w jednym wspólnym porywie zjednoczenia!

Ten, nie do wyrobienia w najdoskonalszym technicznie państwie, cement, jakim jest zrodzona przez jedność narodu wspólnota ducha, a która zamyka się w słowie: Bracie!

Na ten raz zamyka się w słowie innym, a dla nas, kobiet, jeszcze bliższym. I w dniu, kiedy okręt z naszymi rodaczkami z za oceanu zawijał do portu w Gdyni, tysiące serc polskich i tysiące ramion wyciągało się ku niemu niewidzialnie ruchem powitania, radości, i z tysiąca ust płynęło to samo słowo:

— Siostry!..

Tak jest. Przybyły do nas z dalekich zakątków Ameryki, zgromadzone w pielgrzymkę do ojczyzny, siostry nasze! Przybyły, parte tęsknotą za tą opuszczoną pod ciężarem warunków dla szukania lepszej doli—ziemią, która je urodziła i w której spoczęły kości ojców. Niektóre nawet nie znają Polski: tylko wieści o „starym kraju“ zapaliły w nich iskierkę polską, która płonie w sercu, jak lampka w ciemnej świątyni, i w dalekim, dalekim promieniu ukazuje drogę do Polski. Płonie tak długo, ukazuje ojczyznę w tak tęczyowych, tak świętych barwach, że powoli wyprowadza z kraju maszyn, bloków, zgrzytów i dolarów i kieruje tam, gdzie leżą szerokie łany zboża na rów-

ninach, a po niskich łąkach pod wierzbami grają na wiosnę melancholijne zabie chóry: do Polski!

Chciałabym gorąco, żeby Polska na przyjazd naszych dalekich, miłych sióstr ubrała się we wszystkie tęcze, jakie jej niebo i jej ziemia w skarbcach swoich chowa! Chciałabym, ażeby w oczach waszych została cała barwność naszych wełniaków łowickich, i całe wesele naszych wstążek krakowskich, i grały amarantem i bielą mazurskie sukmany! Chciałabym, żebyście mogły zawieźć waszym małym córeczkom i chłopcom za morze i guńkę góralską, i haftowany serdaczek, i wymyślnie zdobioną ciupagę, i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, i Ostrą Bramę, i Zamek Wawelski! Chciałabym zapakować do waszych amerykańskich walizek wszystkie kolorowe wycinanki, elementarze i książki polskie, jakich tam nie macie, albo macie z drugiej ręki! Chciałabym znaleźć jakiś hermetyczny amerykański termos i nieznanymi czarami schować w nim troszkę błękitu naszego nieba, troszkę powietrza naszych lasów, troszkę promieni naszego słońca — i wiele, wiele ciepła naszych serc!..

Może—dowiozłybyście je szczęśliwie? I zachowały na ołtarzyku serca, który przecież w każdym domu polskim, nawet w Ameryce, stoi mocno? Może w jakiej cichej godzinie, kiedy same już przemyślicie, przeżyjecie, przetrawicie wrażenia z waszego krótkiego tu, lecz napewno bardzo, bardzo płodnego dla was i dla dzieci waszych—pobytu: może tam, za oceanem, zasiadziecie w kole waszych najbliższych, którzy sami z wami do ojczyzny przybyć nie mogli—i otwarłszy, zaczarowane wieczko, zaczniecie, jak się zaczyna daleką, miłą opowieść:

— A kiedyśmy to były w Starym Kraju...

I wtedy powoli zaczęną się koło was wypromieniać zachowane blaski i błękity, i dzwony i tęcze — i zacznie się wypiękniać przed oczami dzieci waszych, które jej nigdy nie widziały, tęczowa, błękitna, polna i wolna Polska! I wierzę, że z iskierki miłości, raz przez was zapalanej — wysnuje się kiedyś i dla nich, małych amerykaniątek, daleka smuga, jak pomost przez Atlantyk, jak tęcza, jednocząca dwa krańce ziemi: wysnuje się dla nich powrotna droga do wielkiej Matki — Ojczyzny.



LUCYNA KRZEMIENIECKA-WOLICOWA

## POWITANIE

*Witajcie nam, siostry, przybyłe zdaleka zielonym pociągiem!  
niech się Wam ziemia ojczysta rozpostrze w gwiazdzistą chorągiew.*

*Mówiono Wam pewno o Polsce zimne, szumiące słowa  
i w snach widywałyście tylko kwitnący po łąkach powój.*

*Pokazywano Wam Polskę: serce na mapach rozpięte,  
lecz tylko w śnie niespokojnym po polsku pachniała raz mięta.*

*Siostry, przybyłe zdaleka, z ufnością podajcie nam dłonie!  
niech Wam legendę prastarą sady jabłonne rozdzwonią.*

*Zdajcie się ufnie w opiekę nieznanym ulicom miasta,  
a każda cegielka będzie miłością w serce Wam wrastać.*

*Dajcie się ufnie prowadzić serdecznym, rozgrzanym łąkom,  
słuchajcie, jak płacze liljowo zbłąkany w pszenicy kąkol.*

*A gdy będziecie powracać na wielki, błyszczący okręt,  
zabierzcie garstkę błękitu w serce od żalu mokre!*



RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

## STARY KRAJ

Historja Stanisława Mazura była dość niezwykła. Na jakie 15 lat przed wielką wojną dwudziestoletnią wówczas Stasiek zmuszony był odbywać służbę w wojsku rosyjskiem. Podobnie, jak większość jego rówieśników, radby się był i on od owej nienawistnej służby wywinąć; ale że był zbudowany naschwał, prosty i smukły, jak młoda topola, a przytem biedny, jak mysz kościelna i nie miał się czem-u komisji poborowej wykupić — więc go wzięto. Ostrzyżono mu jasną czuprynę, nałożono na siwe oczy moskiewską czapę z numerem, na plecy zarzucono mu tornister i karabin, i...

— Śmirno! stań wo front, żołnierzu Jego Cesarzkiej Mości!

Jeszcze mustra — nic. Młode Staśkowe nogi nawykłe były do sprężystego chodu, muskularnym ramionom nieobcy był pracowny wysiłek; jeszcze jadło — owszem: żołnierska zupa smakowała nie gorzej, niż barszcz i kartofle w ubogiej chacie ojcowskiej... najcięższymi do przetrzymania były jednak godziny, przeznaczone na naukę dla żołnierzy.

Tam to polskie żołnierzyki, ustrojone w moskiewskie mundury, dowiadywały się codziennie i systematycznie, że „polaczyszki“, to buntowszczyki, a cała Polska, to „drzań i swołocz“! Słuchał tych nauk Stasiek, choć gniew w nim kipiał ukropem, a pięści same zaciskały się w dwa twarde młoty. Oj, spracby kiedy taką gębę bluźnierczą, żeby się krwią zalała!

Nareszcie, któregoś dnia nie wytrzymał, i kiedy feldfelbel pozwolił sobie na jakiś podły żart o kobiecie polskiej — Stasiek lunął go w zęby, aż się dowcipniś nakrył własnymi piętami!

Zrobił się sądny dzień! Chłopaka wpakowali do aresztu i, ani chybi, byliby go rozstrzelali, ale że to siłę miał niezwykłą, więc wyłamał kratę w oknie celi i... pooszedł! Tyle go widzieli.

Na szczęście Staśkowe pułk jego stał tuż nad granicą austriacką, przedostał się więc nocą na tamtą stronę. Litościwi ludzie dali mu cywilną odzież; chłopak pracował, kręcił się, zabiegał; wreszcie udało mu się przedostać do Stanów Zjednoczonych.

Okręt, przepłynąwszy przez wielkie, słone wody oceanu, wyrzucił go wraz z innymi emigrantami w Nowym Yorku. Trzeba było znaleźć pracę w tem bezmiernem mrowisku ludzkim, tętniącem nieustannym rytmem surowej, wytężonej pracy. Stasiek wpadł, jak mucha do ukropu — nietylko się w nim jednak nie ugotował, ale zdołał niezgorzej dać sobie radę.

Różnie mu się działo na początku. Imał się wszelkich rodzajów pracy. Czyścił kiszki baranie w olbrzymiej rzeźni miejskiej, ładował węgiel w por-

cie, zmywał naczynia w jakimś lunch-room'ie na Bowery, wywoził śmiecie ze stacji subway'u; wreszcie zateśknił za czystsza robotą i dostał się na clerka do sklepu ze starzyzną na 3-ej ulicy. Chłopak stanowczo w czepku się rodził, bo zakochała się w nim Dolly, jedyna córka bossa (pryncypała), i niebawem odbył się ich ślub. Sam pryncypał umarł wkrótce wskutek jakiegoś wypadku automobilowego, i oto Stasiek, dzisiaj już Mr. Stanley Mazur, stał się poważnym obywatelem wielkiego, wolnego państwa.

Wytężona, gorączkowa, iście amerykańska praca schwyciła Mazura w swoje stalowe tryby, nie pozostawiając mu w pierwszych latach ani chwili czasu na wspominki o porzuconej ziemi ojcowskiej. Dopiero, gdy obrósł w pierze, tęsknota za krajem poczęła raz poraz dobierać się do jego serca. Zapisał się do kilku miejscowych stowarzyszeń polskich, uczęszczał na zebrania, płacił pilnie składki członkowskie, czytał polską gazetę, — we własnym domu jednak trudno mu było znaleźć zrozumienie dla tego romantycznego sentymentu.

Dolly (o, jakże imię to było niepodobne do imienia Kasi, czy Marysi!) była kobietą trzeźwą, zdolną do dzielnej pomocy mężowi w ofisie, umiejącą w święta wesoło przepędzić swój „good time“; ale gdy mowa była o Polsce, wzruszała tylko ramionami. Never mind! Cóż ją obchodził ten jakiś mizerny szmat ziemi w Starym Kraju! Stanley powinien być dumny, że jest obywatelem potężnego państwa, właścicielem dużego interesu i mężem jej, Dolly, urodzonej Smith!

To też Mazur unikał rozmów z żoną o Polsce; bolał jednak niezmiernie nad tem, że i w sercu jedynej córki nie znajdował żadnego zainteresowania się sprawami dalekiej Ojczyzny.

Dziewczynka na pamiątkę swego dziadka ojcowskiego otrzymała imię Władysławy, matka jednak i całe otoczenie wołało na nią: Wally.

Wally mówiła po polsku, bo ojciec tego wymagał, na tem jednak kończyła się jej polskość. Trzpiot to był, urwis i przekora; nudziły ją rozmowy o nieznanym, dalekim kraju, majaczącym gdzieś w błękitnej mgłę bajki, czy legendy. Tyle było ciekawszych rzeczy na świecie! Dokoła pulsowała, szumiała, perliła się radość istotnego, realnego życia. Niepotrzebne jej były bajki.

Dwa razy w tygodniu przychodziła do Mazurów nauczycielka polskiego języka i historii. Dla Wally lekcje te były torturą. Szeregi królów polskich, bitnych rycerzy, dostojnych mężów stanu stawały przed jej wyobraźnią, jak przed zakurzonem lustrem, nie dając żadnego zgoła odbicia. Wypadało mówić o nud-

nej, nierealnej, dawno zapomnianej bitwie pod Cecorą, podczas, gdy tuż, na podwórzu, rozgrywała się prawdziwa bitwa między chłopcami od Starków, a małymi Murneyami!

W głupiej, dziecinnej zemście nad ojcem rozpieszczona dziewczyna mówiła wówczas do niego:

— Ech tam, wasza Polska!..

Mazur walił pięścią w stół i wybuchł gniewem:

— Shut up (milcz, smarkuła)! — wołał z uniesieniem — ty jesteś polska dziewczyna, bo twój ojciec jest polakiem!

Ale Wally już nie było w pokoju. Zbiegała na dół, po trzy schody naraz, śpiewając na całe gardło: „I am a free born american“.

W miarę, jak Wally podraszała, sceny podobne stawały się coraz rzadsze; dziewczyna miała dobre serce; zresztą, pocóż było drażnić tego kochanego „daddy“, który był dla niej tak dobry, sprawiał piękne sukienki, dawał pieniądze na „movies“, na wycieczki do Cooney Island, Hudson River i t. p. rozkosze?

Zresztą „daddy“, widząc, że w domu nic nie wskóra, przenośli wylewy swych uczuć patriotycznych do Domu Polskiego, gdzie był niemal codziennym gościem. W duszy jednak nie tracił nadziei, że kiedyś, może, może, jeśli Bóg pozwoli!..

Po wielkiej wojnie, gdy Polska odzyskała niepodległość i z krainy marzeń wyłoniła się na twardej gruncie rzeczywistości, marzeniem Mazura stało się wysłać Wally do Polski choć na krótko.

Nieprędko można było to uskutecznić: dziewczyna chodziła do szkoły, zresztą z kim miał ją wysłać? Business rozrastał się i wymagał ciągłej obecności właściciela.

Aż tu miejscowa Polonja poczęła interesować się coraz żywiej daleką swą Macierzą, poczęto organizować zbiorowe wycieczki!..

Pewnego dnia—Wally skończyła już była wówczas College—Mazur po lunchu wyjął z pugilaesu jakiś papier i wręczył go uroczystie córce.

— Słuchaj, dziewczyno! — powiedział poważnie, tu jest ticket do Polski; pojedzieta wraz z dwustu paniami z Domu Polskiego.

I ...Wally pojechała.

Na statku było bardzo wesoło. Wally tańczyła charlestona, bawiła się w różne gry na pokładzie, śpiewała, flirtowała i niewiele zdawała sobie sprawy z tego, dokąd i pogo jedzie. Gdy towarzyszyki podróży zaczynały coś mówić o Polsce, Wally wołała: ech, jesteście nudne!—i biegła w przeciwny kąt pokładu.

Wreszcie wycieczka stanęła na gruncie polskim. Przyjęto ją uroczystie, kwieciami, przemówieniami. Nad głowami zebranych, pod blade-turkusowem polskiem niebem trzepotał powitalnie Biały Orzeł, rozpięty na czerwonym tle jedwabiu. Wally rozejrzała się dokoła. Na wszystkich twarzach malowała się skupiona radość.

Kilka starych, siwych kobiet ukłękło i ze łzami całowało ziemię polską, opuszczoną dawno temu, za czarownych lat młodości. Wally nie podobała się ta demonstracja uczuć; sama jednak mimowoli dała się ogarnąć lekkiemu wzruszeniu, którem niespodziewanie skąpało się jej serce. Usadowiono się po wagonach. Pociąg ruszył do Warszawy.

Podjazd do stolicy był dość mizerny. Co za porównanie ze wspaniałą Sky Line pod Nowym Yorkiem!

Na stacji znów przemówienia powitalne, znów kwiaty, owacje... biały Orzeł na czerwonym jedwabiu... Miłych gości rozlokowano po kilku lokalach szkolnych i w kilkunastu mieszkaniach prywatnych. Wally, nie wiedząc, jak i kiedy, dostała się do czyjś domu, gdzie ją otoczyło grono młodych panienek, serdecznych, rozradowanych. Zamiast chłodnego „how do You do“, troskliwe dopytywanie się o drogę, o wrażenia, a czy nie głodna, czy nie zmęczona!..

O, nie! Wally nie czuła się wcale zmęczoną, wesoło odpowiadała na pytania. — Jak one ślicznie mówią, te polskie dziewczynki — myślała—jednak piękną jest polska mowa!

— Jak ci na imię? — pytały panienki. Wally zahała się:

— Ojciec woła na mnie Władzia—odparła z lekkim zakłopotaniem.

Nazajutrz od samego rana rozpoczęło się zwiedzanie miasta. Zamek był piękny wewnątrz, ale na zewnątrz skromny i niepozorny. Ginach Sejmu niewielki, gdzie mu tam do Waszyngtońskiego Kapitolu! Zato Łazienki były urocze, o ileż piękniejsze od suchotniczego Central Parku! Stare Miasto—takie śliczne z temi malutkimi domkami, o dwóch i trzech oknach frontu! dziwnie jednak szanowne i, nie wiadomo czemu, tak jakoś przypadające do serca.

Przed pomnikiem Mickiewicza, w Katedrze, na Zamku — Wally raz poraz zdarzało się słyszeć imię któregoś ze sławnych synów Polski, imię, znane z pogardzanych lekcji. Jakgdyby czyjaś niewidzialna dłoń przetarła zakurzone lustro jej wyobraźni. Wally zaczynała widzieć owe postacie, rozumieć ich wielkość, nieledwie je kochać!..

Wreszcie wycieczka zjechała do Wilanowa. Piękny, stary park, cudowny w swych wykwintnych proporcjach pałac, mieszczący nieprzebrane skarby sztuki, wywarły na Wally wielkie wrażenie.

Stąpiła cicho po błyszczących posadzkach. Dawna świetność Polski spoglądała tu dumnie z każdej ściany, z mebla, z każdego drobiazgu. Wally naraz przypomniała sobie lekceważenie, z jakim traktowała dotąd patriotyczne uniesienia swego ojca.

— Jednak nie było się czego wstydzić, że się nosi polskie nazwisko! — myślała.

W białym kościółku Wilanowskim, przytulonym do zielonej ściany parku, odprawiało się majowe nabożeństwo. Wally ukłękła w ławce. Słońce wpadało przez okno i malinową smugą światła przepasało

białe i złote wnętrze. Pachniało narcyzami, bzem i słodką wonią kadzidła. Ksiądz zaintonował: „Zdrowaś Maryja“.

Zagrzmiały organy, a wraz z nimi ze wszystkich piersi buchnęła pieśń, oddająca zbiorowe serce zebranych pod słodką opiekę Najświętszej Panny.

Wally uczuła, że jeden ogień, jedno wzruszenie potężnym strumieniem przelewa się przez cały kościół. Pozwoliła mu się porwać i unieść.

Poczuła się częścią tej rozspiewanej rzeszy, wśród której wszyscy byli jej siostrami i braćmi. Zro-

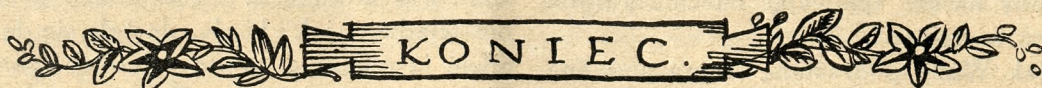
zumiała, że tam, za oceanem, można znaleźć szczęście, majątek, sławę, — ale serce zostanie zawsze tu, przy „starym kraju“.

\* \* \*

Mr. Stanley Mazur otrzymał z Europy list z marką, na której widniała silna i szlachetna głowa Marszałka. List był napisany po polsku:

— Kochany Tatusiu! — brzmiały pierwsze jego słowa...

Mr. Stanley, nie, pan Stanisław Mazur rozplakał się, jak małe dziecko...



MAX WIT

2)

## KRYSTAŁOWA KULA

Lubował się w szkle, kryształach, w blaskach i tysiacych ognich, rozsiewanych szczodrobliwie przez pryzmaty rznietych w kryształach lichtarzy, popielnic, kinkietów, suto rozmieszczonych po kątach. Wolał orzech mebli, niż powagę dębu, jasną barwę perskiego, puszystego, jak murawa, dywanu, od wyblakłych, cuchnących wiekiem i starością gobelinów i starych, przemyślnie tkanych kobierców, wybieranych przez Lenę. Wyszukiwał kałamarze, przyciski, spinacze bardzo nowoczesne, bardzo drogie i bardzo wygodne — nikiel, lub polerowane srebro, nie robiło mu to różnicy, byleby najlepiej służyło celowi przeznaczenia. Pod tym względem był najzupełniej pozbawiony snobizmu.

Z początku Lena usiłowała przekonać Listera, ale w sposób bardzo twardy, niewątpliwy, dał do zrozumienia, że, o ile zezwala jej na wszystko, co zechce, swój pokój urządzi według własnego planu i sposobu. Lena chwilowo ustąpiła, obiecując sobie przekonać Listera. Tymczasem nie lubiła pokoju męża: psuł jej harmonję mieszkania, które urządziła niezmiernie starannie, przytulnie i pięknie. Lister był hojny, pozwalał jej robić z posagiem, co sama zapragnie; pod tym względem był dziwnie bezinteresowny:

— Nie poto pracowałem w pocie czoła 15 lat, bym miał liczyć posag żony! mam o wiele więcej, niż potrzebuję, a nie zamierzam pójść na emeryturę, o nie! Starość jeszcze długo poczeka na mnie! — Śmiał się przytem swym zdrowym, zaraźliwym śmiechem, pokazując szereg ostrych, żółtawych, wilczych zębów, Zaprawdę, wierzyło się, patrząc na niego, że wiele wody upłynie, nim wypadnie pierwszy ząb z tej wspaniałej szczęki pierwotnego człowieka!

Nietylko samo urządzenie pokoju, wysyconego grającymi blaskami szyb, kryształów i lamp, nie podobowało się Lenie, ale i książki nie bardzo przypadły jej do smaku. Nie znalazła tam nic dla siebie: prócz kilkudziesięciu tomów encyklopedji, wspaniałego wydania Macchiabelli'ego i setek dzieł historycznych, wszystkie półki i szafy były wypchane opasłami, mocno oprawnymi rocznikami pism, tekami wycinków, rękopisów i broszur, których treść była dla niej zupełnie obca, niepojęta, daleka. Ze wzruszeniem uczyniła pierwsze odkrycie; nic nie wiedziała, że Lister pisał książki. Na kilku grubych tomach i kilkunastu cieńszych broszurach wyczytała ze zdziwieniem nazwisko męża „Lister Day“. Odkrycie zdumiewające!

Z drzeniem otwierała tytułową kartę, gotowa jednym tchem przeczytać wszystko, co napisał; ale czekało w tych kartach wielkie rozczarowanie; poprostu — nie rozumiała nic. Mówiły o rzeczach, o których nie miała pojęcia, o kwestjach przedziwnie skomplikowanych, nie dających się ująć przez ten zasób wiedzy, jaki posiadała. Chciało jej się poprostu płakać nad temi kartami, drobno zadrukowanymi, zamykającymi tę najistotniejszą treść ducha jej męża, o której najmniej wiedziała, a której poznanie było takie ważne, takie niezmiernie potrzebne!

Zrozumiała, dlaczego Lister nie mówił jej o tych dziełach. Bo i pocóż?! Były zamknięte dla niej na siedem pieczęci. „Polityka“, „Dyplomacja“ — dwa potężne słowa, decydujące o losach ziemi, — to sprawy wybitnie męskie, o których w towarzystwie kobiet się nie mówi. Nigdy nie pojmowała w całej rozciągłości ich treści; była zawarta w nich abrakadabra zagadnień,



przystępnych dla wybrańców, ludzi wyższych, mężów stanu, posłów i senatorów, tych starych, siwych i ły- sych panów, o których mówiono, pisano i których po- kazywano sobie palcami. I Lister miałby należeć do nich i być jednym z pierwszych!

— Oto przyczyna szacunku ojca, zazdrości przy- jaciółek!

— Czy pojme kiedyś i ogarne świat myśli męża. czy zdołam wżyć się w jego kategorie rozumu?—zapy- tywała się ze strachem, ślęcząc nad grubym tomem „Systemu zagadnień dyplomacji w wieku XX”—naj- poważniejszym dziełem swego męża.

Gorączkowo przerzucała roczniki pism z lat ostatnich i wszędzie pod rzędami surowemi prostych szpalt i pękatek napisami tytułów artykułów wstęp- nych znajdowała siedem liter imienia i nazwiska męża. Niestety! Wszystkie zamykały treść ogromnie obcą, ogromnie trudną i niezrozumiałą. Cieszyła się, że poj- muje słowa, zdania, że wyławia, wiąże poszczególne myśli, wyrażenia i okresy; lecz gdy po przeczytaniu usiłowała odtworzyć logiczną całość—wyłaniała się ta- ka ogłupiająca platanina, że z płaczem prawie uciekła z pokoju Listera, w ostatecznej desperacji.

Gdy wrócił tego wieczoru do domu, patrzyła za nim, jak w tęczę, szukając na tryskającym zdrowiem obliczu śladu tych wszystkich przemądrych rozważań i traktatów, zamkniętych w jego książkach. Ale znaj- dowała tylko dobroną maskę dobrze znanego Listera, który długo i systematycznie obija rankiem swoją bokerską piłkę, niezdarnie wiąże węzły krawa- tów i zjada ogromnie dużo szynki na śniadanie ze stertami nieodstępnych pism. Kupowała pokrywomę gazety, do których pisywał, i próbowała przeniknąć treść najaktualniejszych zagadnień; odczytywała ze zduńieniem świeży, opity farbą tytuł: „Ostatnia mowa Stresemana i stan polityki niemieckiej w jej świetle“, Czytała i po raz setny przekonywała się, że nic z te- go nie rozumie, chociaż onegdaj wieczorem była świadkiem pracy nad tym właśnie artykułem.

Zaledwie zjadał obiad, całował ją poważnie w czo- ło i zabierał się do roboty: „na godzinę, kochanie“.

Wiedziała doskonale, że godzinka puchła do dwóch i trzech; nie dziwiła się i nie skarżyła. Miała tylko jeszcze jeden powód do najwyższego pod- dziwu: — Ten człowiek jest niewyczepany!—marzyła, wciśnięta cichutko w sam rozek wielkiego skórzane- go fotela w kącie poczekalni. Siedziała sama, nie zapalała światła. Złota smuga, jak wodospad świa- tłości, wlewała się z rzęsiście oświetlonego pokoju męża. Pisał w potokach elektrycznej światłości: nie znosił żadnych cieniów, cieszył się blaskiem swych luster, szkielek i kryształów, jak skąpiec blaskami roz- sypanych przed sobą djamentów.

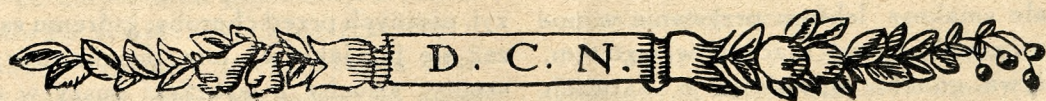
Pewnego dnia wsunęła się za nim. Siadł do pi- sania. Wielka, ciemna postać Listera wyraziście odci- nała się na tle jasności, która wysrebrzała wszystkie wygięcia rzeźb na meblach, spłaszczając je i wyrów- nując, pozbawiając pokój perspektywy. Lena zatrzy- mała się na progu; skrzypnęła posadzka. Drgnął i od- wrócił się na miejscu. Na czole zaśniły, niby perełki, krople potu. Musiał pracować w ogromnym skupieniu, z wysiłkiem. Cień dziwnej powagi rozpląnął się odrazu w uśmiech, gdy ją zauważył. Podniósł się szybko i zapytał: — Czy potrzebujesz czego, Leno? —

To „potrzebujesz“ nie brzmiało zachęcająco. Owszem, mogła wyczytać, że nie powinna bez potrze- by wchodzić, gdy pracuje, ale odrazu tego sobie nie uprzytomniła.

— Smutno mi,—odparła,—chciałabym być przy tobie —

— Dziecino,—uśmiechnął się,—proszę bardzo!— Usadowił ją z boku, rzucił pod nogi jakąś poduszkę i szybko zasiadł do biurka. Próbował zebrać rozstrze- lone myśli, przymknął oczy; lecz zamiast potrzebnych słów wykwitł pod powiekami, w tęczy kołach obraz Leny. Niewyraźny grymas okolił mu usta i gdzieś w głębi spostrzegł pyłek niezadowolenia, błądy i ni- kły, pozbawiony niemal cech fizycznych; jakiś punkt geometryczny raczej, przecięcie wyobraźalne wyo- braźalnych linii myślowych. Opanował się, wziął pióro; ale kapitalnie zaczęty artykuł „Chamberlain i Chiny“ nigdy nie zobaczył światła dziennego: po- został tytułem i niemym wyrzutem—pierwszym wy- rzutem w dzielnym i pracowitem życiu Listera, któ- re przepołożyła swoją obecnością Lena.

W tej chwili, gdy ogarnęła wzrokiem pokój mę- ża, przypomniała sobie wielką kryształową kulę, z pły- wającym wewnątrz czarnym, samotnym łąbodziem. Taki przycisk do papierów miał ojciec na biurku, wiązała się ona z szeregiem fascynujących przeżyć. Kula była najcudniejszą rzeczą na ziemi. Wieleż razy stawała mała dziewczynka przed jasnym kryształem i w zachwycie wpatrywała się w czarnego łąbodzię za grubą, lśniącą kryształową przegrodą nie można go było dotknąć. Przystawiała kulę do twarzy, wpa- trywała się hypnotycznie w martwe rubiny oczów łą- bodzię, szukając w nich rozwiązania zagadki jego bytu. Nie był to zwykły łąbodzię, nie! Zaczarowany przez złą czarownicę i zamknięty w szklanej kuli królewicz czeka, skamieniały, na królową, która gorącym tchnie- niem swych ust stopi zimne, migotliwe szkło i wy- zwoli oblubieńca. Była więc maleńką, słodką królewną, która w największej tajemnicy zabierała zaczaro- waną kulę z łąbodziem i ukrywała pod poduszką, by przed zaśnięciem dmuchać na nią z wiarą ogromną, niewyczerpaną, w cud wyzwolin królewicza!



ST. PODHORSKA - OKOŁÓW

## Ś. P. BRONISŁAWA OSTROWSKA

(sylwetka pośmiertna)

Rzadko spotkać można — zarówno w literaturze, jak w życiu — sylwetkę duchową o linjach tak czystych, jak u Bronisławy Ostrowskiej. Jej zewnętrżność, pełna wrodzonej dostojności, była naprawdę tą „cielesną powłoką“, z której promieniował i którą przepalał drogocenny żar jej duszy i serca. Patrząc na nią, miało się wrażenie, że jej wiotka postać ugina się prosto pod ciężarem skoncentrowanej myśli i uczuć, nad miarę powszednią wybujałych. Bronisława Ostrowska należała do tych istnień, które organicznie nie znoszą kłamstwa. Muszą żyć w zgodzie z sobą, jak rośliny w słońcu. Jej twórczość była zawsze tej wewnętrznej prawdy stwierdzeniem, wyrazem istotnego stanu duchowego.

Począwszy od wiosennych podmuchów radości, zakwitającej polnemi kwiatami prostej piosenki: „Otwórz, Janku, drzwi dębowe!“ — aż po tragiczne „Koło święconej kredy“, które opasało jej męczeńską głowę kręgiem nierozwikłanych zapytań. Te dwa bieguny ludzkiego stosunku do istnienia: arkadyjska harmonja niewiadomości i beztroski z jednej, a prometejski bunt z drugiej strony — zamknęły rozległą skalę twórczości.

Bronisława Ostrowska była poetką „z Bożej łaski“. Nie znaczy to jedynie, że stan poetyckiego natchnienia był dla niej rzeczą tak konieczną i wrodzoną, jak lot dla ptaka, barwa i zapach dla kwiatu. Ale również i to, że twórczość traktowała nie jak rzemiosło, ale jak powołanie. Pisała nie dlatego, że to było jej duchową potrzebą, rozkoszą i ulgą zarazem, jak dla każdego prawdziwego twórcy — ale że miała do powiedzenia rzeczy istotne i ważne. Z chwilą, gdy obudziło się w niej zwątpienie w istotność rytmicznego słowa, umiała się zdobyć na heroiczny gest oderwania się od wyżyn, po których przez szereg lat pięła się jej, tak nawskroś kobieca, indywidualność twórcza, aby zejść na twardą płaszczyznę prozy; nie dlatego, żeby na niej czuła się najlepiej, ale dlatego, że taki był nakaz jej sumienia artystycznego, z którym prawdziwy poeta nie zna kompromisów.

Tak powstał „Bohaterski Miś“ i „Książka jutra, czyli Tajemnica Genjusza Drukarni“ — książki „dla dzieci od lat dziesięciu do stu“, małe arcydzieła kunsztu pisarskiego, gdzie pod gładką powierzchnią wyszukanej prostoty, jak pod szkłem serwantki, mieniły się misternie cyzelowane klejnoty, rozkosz znawców, niedostępna laikom. Dziecięcą wyobraźnię pociąga w nich fabuła, ale smakosz lektury przystanie w podziwie nad tym czarodziejskim tkackim warsztatem, z którego wypływa gobelin opowieści o barwach

przyćmionych łagodnym smutkiem, kobierzec, pocięty na symetryczne pola fragmentów, związanych w jedno niewidzialną nicią konstrukcyjną.

Autorka z wyrafinowaniem iście kobiecem świadomie piętrzy przed sobą trudności techniczne, aby wyjść z nich zwycięsko ścieżką prostoty, dostępną jedynie twórcom, przykładającym do własnego dzieła miarę wyjątkowej surowości. Dwa wątki w „Książce jutra“: dzieje powstania książki i żywot Ościenia — splecione są ze sobą tak ciasno, że czytelnik doświadcza chwilami duszności pod ciśnieniem rozmysłu artystycznego. Od pęknięcia naprężonych więzów konstrukcyjnych ratuje utwór trzeci wątek: osobiste wspomnienia autorki. Jej świadomość jest punktem wyjścia i punktem zamknięcia fabuły, zataczającej rozległą elipsę o dwóch odrębnych ogniskach. Ta geometria natchnienia możliwa jest jedynie w umysłach o układzie egocentrycznym, które każde zjawisko życia widzą pod kątem liryzmu. Stwierdziła to zresztą sama poetka, z obiektywnego tonu powieści przechodząc pod koniec w głęboki ton poufnego zwierzenia.

— „Chciałam dać wielką książkę... Chciałam, żeby w mojej historii przemówiły nieme dotąd rzeczy i powstało szlachectwo pracy. Twórcze szlachectwo odrodzonej Polski. Chciałam dać — przenaajświętszy kraj. A tymczasem książka stała się nami. Stała się życiem. Jak życiem stało się marzenie pokoleń o przenaajświętszym kraju.“

A dalej:

„To, co się stało rzeczywistością, nie może wrócić w świat marzeń. Życie można budować tylko życiem. Czynem. Sobą. Jesteśmy jedną kartą wielkiej polskiej książki, którą pisze każda chwila, każdy dzień“.

Tem wyznaniem zamknęła Bronisława Ostrowska pierwszą dobę swej twórczości — dobę, w której doskonale uzgadniała siebie z otaczającym ją światem. Ale już w „Książce jutra“ do tej harmonji dochodzi drogą bolesnych zapytań, wypracowuje ją w sobie z wysiłkiem, który ciąży na jej skrzydłach, przywykłych do swobodnego lotu. Zaczyna się w niej dokonywać pewien metafizyczny proces, którego wynik, nawskroś negatywny, zadecyduje o tragicznym potarganiu węzłów świadomości, łączących poetkę z bytem.

Mam przed sobą „Tartak słoneczny“ — zbiór poezji, pisanych przed chorobą, któremu sądzono było ukazać się już jako jej tom pośmiertny. Są to ostatnie szepty, szloch i wykrzyki duszy w odlocie. Duszy,

która musiała żyć w zgodzie z sobą, a gdy wewnętrzna zgoda została zakłócona, nie pozostawało jej nic innego, jak odwrócić się od tego świata, który przestał być dla niej rzeczywistością.

Ze zbioru tego wybraliśmy kilka utworów, zamieszczonych w poprzednim numerze „Bluszcze“, tak bardzo typowych dla dawnej Bronisławy Ostrowskiej. Ale są tam i inne, wstrząsające odruchem tragicznego buntu.

„Koło święconej kredy“—to już granica, na której kończy się twórczość poetycka, a zaczyna przepaść negacji. „Niema rzeczywistości. Niema prawdy i treści. Są tylko puste kształty, w których się nic nie mieści“. Stoimy na rubieży, za którą jest pustka i mrok. Z żalem i zgrozą patrzymy na tę gwiazdę spadającą, która ulatuje w otchłań śladem tych wszystkich wielkich duchów, co męką swą wypaliły szlak świetlisty na bezdrożach zwątpienia.



EWA SZELBURG

## DŻYNGILIGIL!

Po trzygodzinnej ulewnej „kiszy“ najniespodziewaniej spadło na taras nasz słońce, takie samo upalne i świetliste, jak to z przed trzech godzin. I nagle świat, zmieniony do niepoznaki przez wodną przemoc, zaczął gwałtownie odinaczać się, wracać do właściwych sobie barw i kształtów.

Najpierw więc niebo w jednym mgnieniu oka z włochatej, brudnoszarej baranicy zmieniło się w gładką, połyskliwą materję, tak doskonale błękitną, jak starodawna suknia pięknej czarnogórki, wywieszona na honorowym miejscu w oknie antykwariatu czci-godnego Lujo Kraja.

Jednocześnie zaś morze, zawsze bez szemrania poddane zachciankom nieba i kaprysy jego wiernie odzwierciedlające, zniebieszczało także w tym samym odcieniu i w tenże sam sposób. Nawet tu, na błękitnie wodnym, pokładły się takie same delikatne, złociste marszczenia, jakimi leciutko po brzegach ściągnął się błękit powietrzny. Potem z kolei przeinaczyły się góry. Straciły kanciastą płaskość i zaokrągliły się poważnie stromemi piersiami.

Palmy energicznie otrząsnęły twarde, długowłose czupryny z miękkich kropel wody, a pinje, mirty i rozmaryny wytchnęły ze ściśniętych piersi taki obłok woni, że ciała nasze stały się nagle pachnące, jakby nawskroś przepoiły się wonią aromatycznych olejków.

Nawet wielkie łapy opuncji w kolczastych rękawicach wydały się w słońcu mniej niezgrabne, a Juki zwierzył mi się, iż bez trwogi może już patrzeć na olbrzymie, tłuste agawy, przyssane do skał, te agawy, tak przerażająco podobne do polipów!

Było jasne, że natychmiast pójdziemy w „świat“, niech tylko węzowate ścieżki wypiją deszczówkę.

— Jak myślicie?—spytał z zafrasowaniem Juki—czy nie będzie to zamało, gdy zechcemy po drodze

pić?—i pokazał mi swoje olbrzymie, jak u kangura' kieszenie, rozepchane pomarańczami.

Przeliczyłam je skrupulatnie—było dziewięć.

— Powinno wystarczyć — oświadczyłam po namyśle.—Zresztą wrócimy wcześniej do domu na wieczere. Wiesz, gosposia Antica od rana już gotuje wspaniałe brodetto...

Ale Juki wstrząsnął się z obrzydzenia:

— Znowu ryby? Znowu te obrzydłe, nieme bydlęta? Na miłość bliźniego! Kiedyż to się skończy!?

— Nie prędko, mój drogi. Słyszałeś przecie, co mówił nasz gospodarz: tu łowią przeszło dwieście gatunków ryb jadalnych, a my jesteśmy dopiero miesiąc... Zresztą, masz chyba dosyć nieudanych prób z befsztykami, które okazują się wkońcu kotлетem wieprzowym, lub, co gorzej — skopowiną, duszoną w czosnku.

—... a tak, i z sałatą, która jest poprostu przydrożnym mleczem, odjętym od „ust“ osła, któremu się sprawiedliwie należy... Ale już chodźmy, skoro mamy iść. Ścieżka obeschła.

Tak—ścieżka rzeczywiście obeschła i ruch zapanaował na niej, nad nią i pod nią.

Oto ukazały się wielkogłowe, wypukłobrzuche osiołki, okute drewnianem siodłem, jak beczka obręczą, to znów zaszczekał ogłuszająco, nie wiem, jakim cudem mieszczący się na tej przestrzeni wóz, sklecony ciężko i niezdarnie z surowych bierwion, jak... szafot.

Wgórze, za rozsypkiem kamieni zazberczały dzwonki myszatyh krów, o nadmiernie szerokich czołach i cienkich nogach, a z za rozczapierzonego pnia oliwki wyjrzał zamyślony profil kozła o wypukłych bursztynowych oczach.

Poniżej zaś ścieżki, na minjaturowych poletkach, ogrodzonych wałami z dużych i małych kamieni, wśród

czarnych jeszcze od niedawnego deszczu winorośli zaroił się ludzie.

Ten i ów na głowie miał czarny, albo czerwony fez, lub śmiesznie małą, okrągłą czapeczkę, kunsztownie haftowaną na denku.

Na nogach, niezwykle smukłych i sprężystych, mieli sięgające od kostek po kolana, białe, płócienne nogawki, wdziane powierzch sukiennych spodni, dla ochrony przed plamiącą, czerwoną od żelaza ziemią.

Tu i ówdzie, pod murkiem z kamieni, obok porzuconej niedbale kurty, stała pieczołowicie ustawiona flaszka, pełna rubinowego wina, i leżały pajdy białej „kruchy“.

— Wiesz, Juki: nie myślałam, że niefrasobliwe wino rodzą takie oto krzaki o powykręcanych członkach, jak widzimy na ruszcie—powiedziałam zażenowana.

Ale Juki, wielki zwolennik tego rozweselającego płynu, zauważył filozoficznie:

— Cóż chcesz! radość daje mękę, a męka daje radość. W tej chwili radość, płynąca w winie, warta jest nawet tego, żebyśmy zбочyli do tej chałupki, wiszącej u skały nad nami.

Wdrapaliśmy się więc na skałę.

Okazało się, że i tu jest poletko (z nanoszonej ziemi) ba! więcej nawet: cztery kozłaki w zagrodce



z tarniny i pod ścianą pięć dzikich, żółtobiałych „maszek,” tak zresztą chudych, jak tylko głodny kot chudy być może.

(Lubię tutejsze koty za to, że mają jasne, jak akwamarina, oczy i że nie przypodlizują się skamłaniem „miau”, lecz wołają krótko i wzgardliwie: „mi hr-ra!” co wygląda raczej na rozkaz, niż prośbę).

Na progu skleconego z kamieni domostwa siedziało kilka kobiet.

Dwie z tych kobiet przedło, pozostałe—migęły drutami, igłami i jakiemiś kolorowymi wełnami. Jedna—opodał, prała zawzięcie, trąc mokre szmaty o ciężką, grubą deskę, opartą na brzuchu.

Tak były zajęte robotą, że nie zauważyły nas wcale.

Zawahaliśmy się, czy im przeszkodzić, i stanęliśmy w milczeniu na samym skraju skały.

Stąd, z góry, widać było cały wąski pas brzegu i wszystkich w skupieniu pracujących na nim ludzi.

Wielka cisza stała w słonecznym powietrzu.

Nagle w tej ciszy zapłakało dziecko,—małe dziecko, mała dziewczuszka, czerwona i pyzata, z czarnymi włoskami.

Płacz dziecka, jak delikatne, ale celne uderzenie w kruche szkło, rozbił na kawałki białą ciszę.

Pierwsza porwała się siedząca z kądzielą kobieta i, odrzuciwszy narzędzie pracy, z rozczapierzonymi rękami, jak kokosz, podbiegła do małej. Przystała na ziemi i, klaszcząc w pomarszczone dłonie przed zapłakaną twarzą dziecka, zaczęła wołać do taktu, wesoło i śpiewnie:

— Dzingiligil! Dzingiligil!

Reszta kobiet, stare i młode, porwały się z miejsca. Nuże plaskać rękami, trzaskać w palce i wtórować starej:

— Dzingiligil! Dzingiligil!

Białe skały odpowiedziały przeciągłym, radosnym echem.

Robotnicy w winnicach podnieśli głowy.

Dzwonki krów w rozmarynowych krzewach zadźwięczały głośnie i weselej, palmy zatrzaśkały smukłymi palcami, i morze zaklaskało o brzeg:

— Dzingiligil! Dzingiligil!

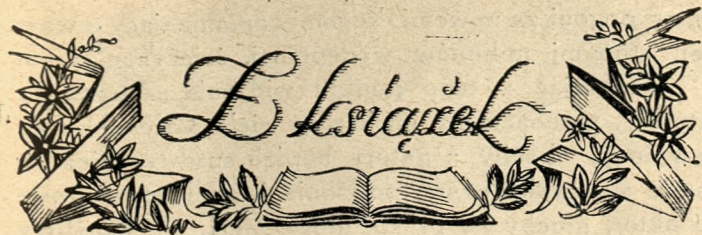
Mała dziewczynka z czarnymi włoskami otarła brudną piąstką zapłakaną buzię i roześmiała się głośno, szczęśliwie!

Natychmiast wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Robotnicy pochylili się nad winnymi krzewami. Krowy powoli sięgnęły wargami do zwisających liści oliwnych. Kobiety z głębszą jeszcze zmarszczką pomiędzy ciemnymi brwiami zgarbiły się nad kolorową wełną...

...tylko morze klaskało wciąż:

— Dzingiligil!!!

Dalmacja. Dubrownik.



Księga Pamiątkowa: „Parlament Rzeczypospolitej Polskiej—1919-1927“.

Książka ta, wydana okazale nakładem Lucjana Złotnickiego, pod redakcją prof. Henryka Mościckiego i Włodzimierza Dzwonkowskiego, jest pamiętnikiem nie tylko żywota sejmu z lat, wyżej wymienionych, ale i retrospektywnym poglądem sejmowania w minionych latach dawnej, historycznej Polski. Wydana okazale, obok kilkuset stron tekstu, ozdobiona jest liczną galerią portretów: naczelnika państwa, prezydentów państwa, posłów sejmu i senatu. Zajmująco, z artystycznym polotem, na podstawach rzeczowej wiedzy ujęte i przedstawione są dzieje sejmów w minionych wiekach.

W częściach, poświęconych czasom odrodzonej Polski, próby charakterystyki stronnictw nie są już na tym naukowym poziomie, co wstęp historyczny. Jednak książka wyrównuje te braki obszernymi życiorysami posłów i senatorów, co dla studjów w przyszłości daje różnobarwny i bogaty materiał.

Poważnie przedstawiała się obecność kobiet - posłanek w obu izbach prawodawczych: w sejmie i senacie. Były one czynne w obrębie różnych stronnictw i tak: Szebeko Józefa, Sokolnicka Zofja, Puzynianka Irena, Ładzina Wanda, Balicka Gabryela (Związek Ludowo-Narodowy—sejm); Stęślicka Halina (Klub Ch. D. — sejm); Kłuszyńska Dorota (P. P. S. — senat), Praussowa Zofja (P. P. S.—sejm), Karnicka Aleksandra („Wyzwolenie“—senat), Kosmowska Irena („Wyzwolenie“—sejm), Melzerowa Róża (Koło Żydowskie—sejm), Lewczanowska Helena (Klub Ukraiński—senat).

Działalność kobiet - posłanek w obradach minionych sejmów i senatu, szczególnie w sferze spraw, dotyczących szkolnictwa i opieki społecznej, zaznaczyła się szeroką inicjatywą i w wydatny sposób przyczyniła się do urzeczywistnienia licznych projektów i reform humanitarnych.

Książka „Parlamentaryzm Rzeczypospolitej Polskiej—1919-1927 r.“ upamiętnia również wzniesienie nowego gmachu sejmowego, do którego przeniesiono obecnie obrady.

Zewnętrzną swą szatą książka imponuje, wydana wyjątkowo pięknie i starannie.

Juljan Wołoszynowski — „Potęga snu“, Warszawa 1928 — J. Morkowicz.

Żyjemy obecnie w okresie, gdy wszelkie, starannie dotąd poprzedzielane terminami stylistycznymi rodzaje literackie sprzeniewierzyły się, uznanym dotąd za nie-

zmiennie, swym właściwościami i cechami, splątały na wzajem i w rezultacie dały życie utworom, w których zawarto wysiłek twórczy, niekępowany żadnymi przyklejonymi zawnazami etykietami.

Minęły już czasy „czystych“ impresyj, tak modnej ongi prozy poetyckiej; jednak niemniej silnie zaznaczona wśród „młodych“ i „najmłodszych“ perwersja, że użyję tego ryzykownego określenia — formy narzuca nam dość często nazwę prozy poetyckiej w stosunku do utworu, który bynajmniej w tym zamiarze nie był tworzony. Takim utworem jest np. „Potęga Snu“ — Juljana Wołoszynowskiego.

Już w swej historii o Panu Twardowskim wykazał Wołoszynowski wielką maestrię słowa, która jednak doskonale równoważyła się jeszcze z treścią, zaprawioną świetnie przestudjowanym folkloryzmem. W „Potędze Snu“ treść, która w pragnieniach autora zdaje się miała grać dominującą rolę błędnie jednak i niknie, przysypana niezwykłą różnokolorowością słów, z których i przez które widomie powstaje.

Kiedyś, pisząc o Panu Twardowskim („Kwadryga“ 27 rok), stwierdziłam nadmiar słów pięknych, ale niekoniecznie potrzebnych, które tylko dzięki sile treści nie przygasiły jej zupełnie. W „Potędze Snu“ natomiast niema ani jednego słowa zamało lub za dużo, a przewaga formy, wyżej podkreślona, polega nie na nadmiarze, który, jak każde „nad“, psuje harmonję całości, ale na ich niesłychanym bogactwie. Przez napisanie „Potęgi Snu“ Wołoszynowski dał się nam poznać, jako typowy przedstawiciel wyobraźni plastycznej, zupełnie malarzkiej, o niesłychanie bogatej skali kolorów.

Każde jego słowo jest barwną plamą w całości obrazu, w którym rzadki zresztą nastrój wynika tylko i jedynie z kolorytu. Treść wydaje się dodatkiem, przyczyną, dla której autor maluje swe cudowne pastele. Nie jest to, broń Boże, zarzut! Tylko forma ma w sobie tyle niespodzianek i nowości, że treść umyka naszym zachwycom w pierwszej chwili. Po drugim, trzecim przeczytaniu napewno zadziwi nas subtelność, z jaką autor przybliży sprawy, sercom naszym dalekie, i wkłada w codzienność, nie odejmując im uroku poezji uroczycie święconej legendy. W pierwszej jednak chwili uderzą nas słowa, jak kwiaty barwne i złociste, oraz rytm, w jakim idą, wytrzymałe w takcie muzycznym, zwarte i jakoś dziwnie nieodzowne.

Z. M.

Joseph Conrad — „Opowieści zasłyszane“ — z przedmową R. B. Cunninghame'a Graham'a, — przełożyli: Teresa X. Sapieżyna i Stanisław Wyrzykowski — Warszawa 1928. Dom książki polskiej.

„Conrad nigdy nie bawi się w kaznodzieję. Trzyma tylko zwierciadło, by ludzie się w niem przejrzeni i wysnuli taki morał, jaki wyczytają ze swych własnych twarzy.“ Te słowa przedmowy doskonale odmalowują nam stronę etyczną twórczości Conrada. Z „opowieści zasłyszanych“, zebranych w książkę dopiero po jego śmierci, specjalne zainteresowanie

w czytelniku polskim wzbudzić musi „Księżę Roman“, opowieść o jednym z bohaterów powstania listopadowego, w sposób dostatecznie dobitny świadcząca o tradycjach narodowych i uczuciach patriotycznych Conrada.

Sąsiadująca z nią „Dusza wojownika“ — epizod z odwrotu Napoleona z pod Moskwy—dowodzi, na jakie wyżyny bezstronności i humanitaryzmu wznieść się może genjusz, dla którego nie istnieją granice przesądów szowinistycznych,—istnieje tylko człowiek sam w sobie, „dusza wojownika,“ jednako szlachetna, bohaterska i tragiczna, bez względu na swą przynależność narodowościową.

Przekład dokonany z pietyzmem.

S. P. O.



TEATR NARODOWY

„Zaręczyny aktorki“ i „Majster i czeladnik“—J. Korzeniowskiego. Reżyserja Zelwerowicza. Dekoracje Aleksandrowicza.

Stary, dobry teatr! Teatr szarych istnień i prostych konfliktów. Pożółkłe szpargały z podręcznej biblioteczki babuni, pachnące mięta i lawenda. Ciepły prąd między sceną i widownią, ten sam, który ożywiał niegdyś prymitywy Bogusławskiego, tryskał, jak gejzer, z arcydzieł Fredry, sączył się wątłym strumyczkiem z komedij Bałuckiego i Blizińskiego, aż wreszcie zatracił się na bezdrożach najnowszej sztuki teatralnej, która rozpala jedynie mózgi słuchaczy, mroząc ich serca.

To serce podbił sobie bez trudu stary Korzeniowski. Jeszcze w pierwszych scenach „Zaręczyn aktorki“ patrzyliśmy z pobłażaniem na naiwność ekspozycji, na grube nici konstrukcyjnej roboty, na efekty, tracące myszką wędrownych bud komedjanckich; ale gdy Zelwerowicz w roli starego aktora zaczął mówić o Szekspirze, gdy padły ze sceny ważne słowa o wiecznie żywych twórcach genjuszu, o wzniosłem powołaniu aktora, którego obowiązkiem jest co chwila wskrzeszać te twory w nieśmiertelnej prawdzie wyrazu—wówczas dreszcz istotnego wzruszenia przeszedł przez salę i wytworzył w jednej chwili ten uczuciowy stosunek widza do sztuki, o jaki daremnie zabiegają nieraz w ciągu całej swej pracy twórczej intelektuali-

ści, w pogoni za nowymi drogami zapominający o wąskiej, stopami milionów wydeptanej, ścieżynce serca.

Traktując z tego punktu widzenia „Zaręczyny aktorki“, przebaczymy im bardzo wiele. Człowiek rozrzewniony, choćby z natury bardzo surowy, mięknie i staje się pobłażliwym, podobnie, jak zelwerowiczowski aktor, głuchy na proste głosy życia, ale wrażliwy czujny na szept teatralnej namiętności. Dodajmy, że cała ta sylwetka prowincjonalnego kabotyna, który kocha sztukę ślepą miłością starego dziecka, poza aktorami nie uznaje ludzi, a zawód aktorski stawia ponad wszelkie możliwości życiowe — mogłaby się stać arcydziełem finezji i czarować publiczność wszechświatową, gdyby ją wzięli na swój warsztat tacy majstrzy, jak Caillavet i de Flers.

Ale taka nawet, jak nam ją w grubych zarysach zostawił Korzeniowski, jest kopalnią pomysłów twórczych dla aktora tej miary, co Zelwerowicz. Przejrzeć się w niej może, jak we wklęsłym zwierciadle, cały nasz obecny świat teatralny, różniący się tem tylko od dawnego „światka“, że bezinteresowny kult dla sztuki ustępuje w nim coraz częściej miejsca bałwochwalstwu karjery.

W „Zaręczynach“ ukrywa się niebezpieczny magnes dla aktorskich nałogów: oto w tej sztuce można, a nawet należy się „zgrzywać“ bez pamięci, do ostatniej nitki, do granic nonsensu. Mam wrażenie, że aktorzy nasi chwilami zanadto dawali folgę instynktowi szarzy, nawykłemu do cwałowania na torach farsowych. Reżyserja powinna nieco przykrócić cugle tej wyścigowej gorliwości.

\* \* \*

„Majster i czeladnik“, ten klasyczny numer repertuaru popularnego, w interpretacji najlepszych artystów polskich stał się pierwszorzędną atrakcją sezonu. Frenkiel, Ćwiklińska, Kurnakowicz, Gawlikowski, Lindorfówna — stworzyli zespół tak wysokiej próby, że w jego oprawie wszystkie utajone wartości sztuki zajaśniały nieznanym dotychczas blaskiem.

Głębia i szczerłość uczuciowa Kurnakowicza porwała nawet wstrzemięzliwą publiczność premierową. Świetny artysta poraz pierwszy dorwał się do roli, w której nie kazano mu błaznować, ale pozwolono być sobą, i pokazał, co umie. Ćwiklińska była w swoim żywiole. Skondensowana energia „Mecenasa Bolbec'a“ i przedsiębiorczej Mary z „Lekarza miłości“ znalazła ujście w szerokim geście i bujnym łonie majstrowej Szaruckiej. Frenkiel swojemu pijaczynie dał tło psychologiczne o głębszej perspektywie.

Całość przedstawienia utrzymana była w liniach szlachetnych, godnych nazwy Teatru Narodowego.

S. P. O.



# Kobieta w świecie i w domu

## PROGRAM PRZYJĘCIA PIELGRZYMKI ZWIĄZKU POLEK Z AMERYKI W GDYNI I W WARSZAWIE.

Dn. 28 maja. Poniedziałek. Gdynia: Powitanie przez Delegatkę Centr. Komitetu z Warszawy p. Holder-Eggerową oraz przez Komitet lokalny.

Dn. 29 maja. Wtorek, Godz. 9 rano. Wyjazd do Warszawy.

Dn. 30 maja. Środa. Godz. 5 i pół rano. Przyjazd do Warszawy. Powitanie na stacji. 1) Godz. 10 rano: Nabożeństwo solenne w Katedrze. Poświęcenie sztandaru. Kazanie wygłosi ks. poseł Nowakowski. Godz. 11.30 — Pochód do Grobu Nieznanego Żołnierza. Szpaler tworzą organizacje kobiece ze sztandarami. Po drodze złożenie hołdu przed pomnikiem Mickiewicza. Godz. 12.30 — Oficjalne powitanie w ratuszu przez delegata Komitetu Centr. P. Szebko, ks. Kardynała, Prezydenta Miasta i przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Godz. 2—4 — Przerwa obiadowa. Godz. 2 — Audjencja w zastępstwie ks. kardynała u biskupa Galla — (Miodowa 24). Godz. 8 — Teatr.

2) Dn. 31 Maja. Czwartek. Godz. 10 r. — Zwiedzanie Zachęty, wystawy Łowickiej w Macierzy. Łazienek, Mostu Poniatowskiego, części Nowej Warszawy. (Zbiórka w Chrześc. Związku Służby Domowej, Kredytowa 14, podwórze, parter). Godz. 2—4 — Przerwa obiadowa. Godz. 4.15 — Audjencja u Pana Prezydenta i Pani Prezydentowej. Przyjęcie na Zamku. Godz. 7 — Nabożeństwo Majowe w Kośc. Św. Krzyża.

3) Dn. 1 czerwca. Piątek. Godz. 10 r. — Zwiedzanie Starego Miasta, Katedry i Muzeum Narodowego. Zbiórka w Katedrze. Godz. 2—4 — Przerwa obiadowa. Godz. 4.30 — Akademia, urządzona przez Stow. Kobiectwo w Ratuszu. Przemówienia wygłoszą pp. Daszyńska-Golińska, Marja Śliwińska i Ks. Irena Puzynianka. Godz. 8—9 wieczorem — Raut.

4) Dn. 2 czerwca. Godz. 10 r. — Wyjazd do Wilanowa. Godz. 2—4 — Przerwa obiadowa. Południe do osobistego rozporządzenia (wizyty, zakupy). Godz. 4 i pół — przyjęcie w Belwederze. Godz. 11 — Wyjazd do Wilna.

Kalendarz Pielgrzymki: Gdynia—29 maja Warszawa—30 i 31 maja, 1 i 2 czerwca. Wilno—3 czerwca. Lwów—5 i 6 czerwca. Kraków—7 i 8 czerwca. Katowice—9 czerwca. Częstochowa—10 czerwca. Poznań—11 i 12 czerwca.

### W SPRAWIE „ŚWIĘTA MATKI“.

Wydział Wykonawczy Komitetu Obchodu „Święta Matki“, wybrany na zebraniu przedstawicieli organizacji społecznych m. Warszawy w dniu 29 marca r. b., donosi niniejszem, iż z trudności, wynikłych z przyczyn, od niego niezależnych — nie jest w możliwości w tym roku spełnić zadania, włożonego nań przez wspomniane zebranie organizacyjne, i zawiesza swe czynności.

Wobec szerokiego zainteresowania, jakie w całym społeczeństwie wzbudziła wzniosła idea uczczenia kobiety-Matki i licznych zgłoszeń z całego kraju, Wydział uprasza wszystkie organizacje o urządzenie w poszczególnych miejscowościach obchodów „Święta Matki“ w terminie, wyznaczonym na 10 czerwca r. b. lub w innym terminie, zależnie od możliwości lokalnych.

Wydział Wykonawczy wyraża nadzieję, iż w przyszłym roku uda się zorganizować „Święto Matki“ w szerszych rozmiarach, od tegorocznym zapoczątkowaniu i doświadczeniach.

Wydział Wykonawczy będzie szczęśliwy, jeżeli rzucona przezeń myśl powszechnego uczczenia kobiety-Matki w Polsce już w tym roku znajdzie wyraz w licznych obchodach.

### OTWARCIE WYSTAWY ŁOWICKIEJ

Dnia 19 maja została uroczystie otwarta Wystawa Łowicka w salach Polskiej Macierzy Szkolnej (Krakowskie Przedmieście 7, II piętro) w obecności pp. dyrektorów Skotnickiego, St. Michalskiego, E. Frankowskiego, przedstawicieli świata artystycznego i pedagogicznego, Zarządów: Głównego, Kół Macierzy i Oddziału Towarzystwa Krajoznawczego w Łowiczu, oraz gości z Warszawy i prowincji.

Wystawa trwać będzie do dn. 3 czerwca i cieszy się ogromnym powodzeniem licznie zwiedzających wycieczek, dlatywy i młodzieży szkolnej.

### ZJAZD MŁODYCH ZIEMIANEK.

W roku bieżącym przypada 10-lecie powstania w Warszawie Koła Młodych Ziemianek.

Praca, zapoczątkowana przez grupę jednostek, pełnych zapału, inicjatywy i serca, znalazła oddźwięk w całej Polsce.

Stanęliśmy do pracy ochotczo w poczuciu obowiązku, który na nas spada — na nas, młode pokolenie — w wyzwolonej Ojczyźnie.

Dziesięcioletni dorobek, doświadczenie nabyte, projekta i zamiary na przyszłość — posłużą za materiał rozważań, w celu rozwinięcia na szerszą miarę zakrojonej, zgodnej i rozumnej działalności społecznej.

Wszystkie osoby, którym ideały ziemianek nie są obce, są proszone o liczne przybycie na Zjazd, który się odbędzie w dniach 3, 4, 5 czerwca r. b. w Warszawie, w sali C. T. R., (Kopernika 30).

O wszelkie informacje i program Zjazdu zwracać się należy do biura Młodych Ziemianek: Warszawa, Marszałkowska 149, tel. 82-03, od 12—2 pp.

### ZWYCIĘSTWA W WALCE O RÓWNOUPRAWNIENIE POLITYCZNE KOBIEC.

Ostatni akt równouprawnienia kobiety angielskiej został dokonany. Trzeba dokładnie znać stosunki społeczne w Anglii, aby zrozumieć, jakim zwycięstwem dla ruchu kobiecego jest fakt, że Izba Gmin niemal jednomyślnie, bo wszystkimi głosami przeciwko dzieśięciu, uchwaliła w drugim czytaniu Equal Franchise Bill.

Że liberałowie i Labour Party poparli całkowicie wniosek rządowy, trudno się dziwić; ale że konserwatyści, którzy zawsze i wszędzie reprezentują prąd anty-reformatory i anty-feministyczny, wypowiedzieli się, jak jeden mąż, za Franchise Bill, — w tem właśnie tkwi sedno zwycięstwa.

Dzień, w którym Angielkom za „uczciwe spełnianie obowiązków względem ojczyzny i społeczeństwa“ zostały udzielone równe prawa głosowania od r. 21, a nie 30, jak to było dotychczas — zostanie wypisany złotem zgłoskami w dziejach Anglii.

5.000.000 świeżych, młodych, pełnych temperamentu sił stanie do urn wyborczych przy najbliższych wyborach powszechnych i przechylili szalę zwycięstwa na stronę tego stronnictwa, które potrafi zaskarbić sobie sympatję wśród świata kobiecego.

Nawiązując do wyżej powiedzianego, śpieszymy powtórzyć za gazetami angielskimi, że Indje nadają także równouprawnienie kobietom. Po kobietach w Madrasie zostały zrównane z prawami mężczyzn kobiety w Bengalu. Należy oczekiwać w najbliższych latach, że wszystkie prowincje w Indjach pójdą za tym przykładem.

Greczynki domagają się również prawa wyborczego. „Liga obrony praw kobiet“ w Atenach złożyła na ręce ministra skarbu

Kafandarisa memoriał, domagający się przyznania kobietom greckim prawa wyborczego. Delegacja podkreśliła, iż Greczynkom bardzooby na tem zależało, by w przyszłych, powszechnych wyborach spełnić swój obowiązek obywatelski.

Minister Kafandaris bardzo przychylnie odniósł się do prośby delegatek i przyrzekł, że sprawę tę przedłoży radzie ministrów na jednym z jej najbliższych posiedzeń.

W Kanadzie, oprócz jednej prowincji Kwebeku, wszystkie powiaty przeprowadziły równouprawnienie kobiet. Wiek wyborczy—lat 22.

Na wyspie Jawa, pod wpływem kobiet Holandji, osiadłych tam wraz z mężami kolonistami, utworzyła się organizacja kobieca, do której należą netylko europejki, lecz i rodowite jawajki.

Ruch ten ogarnia i Sumatrę, gdzie również kobieta budzi się do życia samodzielnego.

W Australji—pełne równouprawnienie kobiet zostało przeprowadzone. Ostatnio rozpoczęła się tam walka niewiast o dopuszczenie ich do stanowisk w rządzie, w t. zw. komisjach brytyjskich.

Delegatką Australji w Lidze Narodów jest miss Freda Bage, zasłużona działaczka na polu pedagogiki, była przełożona kolegium żeńskiego w Brisbane.

W Łotwie już dziś rozpoczęła się gorączkowa agitacja wśród świata kobiecego, przed wyborami do parlamentu, które są wyznaczone na październik r. b. W niektórych gminach wystawiono listy wyłącznie kobiece, należy się więc spodziewać, że przy wyborach powszechnych ukaże się osobna lista kobieca, która skupi nazwiska kandydatek wszystkich ugrupowań politycznych.

Wszędzie wre praca i toczą się walki o równouprawnienie, uwieńczone pomyślnymi skutkami; tylko skrzywdzone córki wolnomyślniej Francji nie mogą wywalczyć dotychczas przyznania im należnych, a równych praw.

H. S.

### ŚWIĘTO WYCHOWANIA FIZYCZNEGO MŁODZIEŻY

Organizacje wychowania fizycznego młodzieży, rozwijające się w ostatnich latach z ogromną szybkością, obchodziły dn. 20 maja prześliczne święto. Było to niby zdanie rachunku przed społeczeństwem z przeprowadzonych dotychczas prac i rezultatów. Święto rozpoczęło się mszą w katedrze, odprawioną przez księdza biskupa Bandurskiego, dla członków organizacji Wychowania Fizycznego i Przynsposobienia Wojskowego Następnie odbyła się defilada na placu Saskim przed ks. biskupem Bandurskim, min. Dobruckim i dowódcą korpusu, Uroczystości zakończyły zawody sportowe w parku Skaryszewskim i na Dynasach.

Całość wypadła nad podziw świetnie; i liczebnie, i jakościowo, gdyż 8 tysięcy młodzieży brało udział w uroczystościach, a ich dzielna postawa i wyszkolenie budziły zachwyt publiczności.

Z. M.

### HARCERSTWO POLSKIE ZAGRANICĄ

Praca Harcerstwa, która za czasów niewoli jeszcze tak żywo obchodziła społeczeństwo, w obecnych czasach spotyka się z pewnego rodzaju obojętnością ogółu. Ale jeżeli w pracach na terenie Polski społeczeństwo jeszcze cośniewie i trochę się nimi interesuje, to działalność harcerstwa poza granicami kraju jest dla niego sprawą najzupełniej obcą i daleką.

Wydział Zagraniczny przy Głównej Kwaterze Męskiej pracę poza granicami prowadzi bardzo energicznie i intensywnie, rozumiejąc dobrze, iż organizując w zastępach harcerzy młodzież polską, wytwarza temsamem silną jednostkę, która może i musi oprzeć się największemu wrogowi polaka na obczyźnie, t. j. wy-narodowieniu.

Polskie organizacje harcerskie są rozrzucone wszędzie. Praca ta najlepiej rozwija się w Czechosłowacji. Na Czeskim Śląsku

Cieszyńskim pracuje obecnie 19 drużyn męskich, które stanowią zupełnie samodzielną organizację, zatwierdzoną przez Ministerstwo, Spraw Wewnętrznych w Pradze.

Na terenie Niemiec mamy: 2 drużyny męskie w Berlinie, jedną we Wrocławiu i resztę na Górnym Śląsku. Pracę utrudnia brak inteligencji i szkół polskich.

Na Łotwie harcerstwo polskie rozwija się świetnie: znajduje się tam 10 drużyn polskich, które pod względem wyszkolenia stoją wyżej od łotewskich.

Francja posiada 20 polskich drużyn, z tych w Paryżu dwie; pracę hamuje jednak brak instruktorów i ciężkie warunki materialne drużyn.

Od roku zorganizowano jedną drużynę w Belgji, która zapowiada się, jako jedna z lepszych jednostek organizacyjnych harcerstwa polskiego zagranicą.

Danja posiada jedną drużynę, która pracuje słabo i bez wybitnych rezultatów.

Drużyny istniejące w Rumunji, na Bukowinie i w Besarabji stoją bardzo dobrze, tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym.

Tak mniejwięcej przedstawia się rozwój harcerstwa polskiego w Europie. Poza Europą istnieją dwie drużyny męskie i jedna drużyna „zuhów“ w Charbinie w Chinach.

Najlepiej jednak pod względem intensywności pracy stoją drużyny amerykańskie: istnieje kilka drużyn w Kanadzie i Paranie, dokładniejszych danych o nich jednak brak.

Ogólnie, poza granicami Polski istnieje około 100 drużyn męskich i kilkadziesiąt żeńskich.

Wydział zagraniczny przy Głównej Kwaterze Męskiej, starając się o stały kontakt między drużynami, pracującymi na obcym gruncie, corocznie organizuje kurs dla drużynowych, oraz sprawadza poszczególnych druhow, rozlokowując ich po obozach i kursach.

W bieżącym roku Wydział organizuje: kurs dla instruktorów w sierpniu, obóz dla Hufca Harcerskiego z Morawskiej Ostrawy, kurs na Łotwie na zastępowych, kurs dla drużynowych w Czechosłowacji. Pozaatem sprawadza 20 harcerzy z Czechosłowacji, 30 z Niemiec, 30 z Rumunji, 10 z Gdańska, 10 z Łotwy i 10 z Francji.

Jak widzimy, praca Wydziału Zagranicznego jest wytrwała i świadoma swego najważniejszego celu: utrzymania polskości wśród młodzieży, rozsianej po obcych ziemiach, i nawiązywanie z nią stałego kontaktu. Z radością musimy przyznać, że udaje im się to w zupełności, a rezultaty często przechodzą oczekiwanie. Z. M.

### KOBIETA W TECHNICE



Wykład kobiety-profesora w Elektro-mechanicznym Instytucie w Paryżu.



## WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIEC

N A U K A

II

Od chwili, gdy wrota wyższych uczelni zostały szeroko, jaknajszerszej rozwarłe dla kobiet, zagadnienie pomaturalnych planów dziewczęcych poczęto rozstrzygać, idąc po linii najmniejszego oporu. Przewszystkiem—uniwersytet, trochę już rzadziej (za dużo pracy!)—politechnika; stosunkowo najrzadziej—Instytut Pedagogiczny, jako najmniej schlebający snobistycznej dumie przyszłych sław naukowych.

Niestety, jednak, uprzystępnienie kobietom możliwości wyższego kształcenia się nie tylko nie pogłębiło ich stosunku do nauki, lecz przeciwnie: ta łatwość zbliżenia się do źródła wiedzy wywołała pewną, że się tak wyrażę, poufałość stosunku, zupełną i doskonałą „négligence”, która nie pozwalała na zajęcie dostatecznie poważnego stanowiska w stosunku do studjów.

Specjalność wybierało się na chybił - trafił z miliona względów, z których żaden nie był dostatecznie ważny, aby rzucić studia po roku lub dwóch dla najzupełniej błahych powodów, nie mówiąc już o zamążpójściu, które (bądźmy szczerel) najzacieklejszą badaczkę oderwie od pracy naukowej.

Bezmyślność w traktowaniu nauki była powodem jeszcze jednego, bardzo ujemnego przejawu wśród studentek, a mianowicie: powodowała częste i bolesne rozczarowania, brak wiary we własne siły i ostateczne zwichnięcie życiowej kariery.

Na szczęście, daje się już zauważyć pewne osłabienie tego owczego pędu kobiet w kierunku wyższych uczelni; zwycięża zmysł praktyczności, który tkwi wiecześnie w istocie kobiecej duszy i który, choć czasem przytłumiony, odezwie się zawsze w porę, aby uchronić kobiety od ostatecznego błędu.

Obecnie kobiety zaczynają myśleć o wyższych studjach kategorjami specjalnemi, zawartemi w słowach „co z tem zrobić?” i choć to jeszcze nie jest wszystko, bo najwłaściwszą drogą w tym wypadku byłoby zagadnienie — czy dam sobie z tem radę? jednak w porównaniu z poprzednią lekkomyślnością, to już bardzo dużo.

Mimo wszystko istnieje pewna kategorja kobiet, która nie może ułożyć swej przyszłości inaczej, jak w ramach ścisłej pracy naukowej w tym lubi nym kierunku. Choć w obecnych czasach nauka czysta jest w stosunku do kobiet czemś nawskroś niewdzięczną, dającym często ból i cierpienie za ofiarowane z zapalem całe życie—wiele kobiet jednak miłuje ją właśnie tą platonyczną miłością, bez żadnej ubocznej myśli, nawet bez zapytania — „co mi to da?” Pytanie — czy dam sobie z tem radę?— byłoby w tym wypadku nie

na miejscu, bo „takie“ dadzą sobie radę napewno. I niewolno im już nic zabraniać.

Ścisłe rozpoznanie zdolności naukowych jest poniekąd trudne: wszelkie innego rodzaju uzdolnienia przejawiają się w jakichś realnych pragnieniach lub czynach—zamiłowania naukowe, jako leżące głęboko w duszy i bardzo idealne, temsamem umykają wszelkim nazwom i kategorjom.

Najlepiej poradzi w tej dziedzinie psychotechnika i wewnętrzna świadomość danej jednostki.

Należy się jednak strzec pomyłek; jasnym jest, że jeżeli młoda dziewczyna z zapalem wertuje książki przyrodnicze, to nie można jej gwałtem pchać na politechnikę; nie mniej jednak, osoba, piszące kulawe wiersze w 17-ej wiosnie życia, nie koniecznie musi być poetką i studjować literaturę na uniwersytecie.

Nauka, jak każda zresztą dziedzina, wymaga specjalnej konstrukcji umysłowej takiej, w której winna przeważać logika, jednak pewne gałęzie wiedzy, szczególnie objęte nazwą humanistyki, przystają łatwiej do typów umysłowości intuicyjnej i wrażliwej.

Trzeba jednak pamiętać, że zaciekle czytanie romansów bynajmniej nie dowodzi zdolności do badań literackich, a wyprawy po motyle i nabijanie ich na szpilki — namiętności do przyrodoznastwa. Potwarzam, że tego rodzaju zamiłowania umykają wszelkim kategorjom i dadzą się określić tylko z pewną, stosunkowo niewielką, dokładnością.

Naukowe zamiłowania kobiet należy jeszcze bardziej przemyśleć przed ostateczną decyzją, aniżeli artystyczne. Sztuka jest bliska i dostępna kobiecym duszom we wszystkich jej dziedzinach — nauka zamknęła przed kobietami niektóre swe działy—nie niemożliwością zrozumienia, ale trudnością wypełnienia.

Otworem stoją dziś przed kobietą politechniki, pewna część kobiet zdobywa nawet dyplomy inżynierskie, ale... na tem się chyba kończy. Praca twórcza dla kobiet na tem polu jest trudna, z wyjątkiem może chemji, która w swej odmianie chemji spożywczej jest dla kobiet bardzo a bardzo odpowiednim terenem studjów. Inne wydziały politechniki, jak mechanika, inżynierja lądowa, inżynierja wodna, nawet architektura—pozostaną w najlepszym razie wiedzą zdobytą, ale nie wyzyskaną.

Odpowiednim terenem dla kobiecych studjów jest uniwersytet, gdyż wydziałami swemi odpowiada ich zdolnościom i zamiłowaniom. Uniwersytetów w Polsce mamy, jak wiadomo, 5: Warszawa, Lwów, Kraków, Wilno i Poznań. Poza tem istnieje jeszcze prywatny uniwersytet lubelski, na którym jedynie dostępnymi dla kobiet są wydziały: społeczno-ekonomiczny i humanistyczny. Lecz uniwersytet ten nie daje praw, tak samo, jak i Wolna Wszechnica w Warszawie, która przyjmuje przeważnie młodzież bez matury. Nie mniej jednak poziom naukowy na Wolnej Wszechnicy stoi bardzo wysoko, więc komu nie za-

leży na prawach, a pragnie jedynie pracować naukowo—niech się nie wacha zostać słuchaczem Wolnej Wszechnicy. Przy Wolnej Wszechnicy istnieje jeszcze Szkoła dziennikarska z kursem dwuletnim.

Kurs przeciętny na uniwersytetach, jak i na Wolnej Wszechnicy, trwa 4 lata, oprócz medycyny, dla której oznaczono przeciętnie lat 6 na ukończenie. Jest to jednak utopja. Jedynie prawo da się dość łatwo ukończyć w cztery lata: pozostałe wydziały dochodzą do 6-ciu, medycyna zaś przeciętnie wymaga 8-miu lat studjów.

Z poszczególnych wydziałów najwięcej kobiet uczęszcza na prawo i na humanistykę. Zeszłego roku w artykule „Kobieta, a uniwersytet“ odradzaliśmy kobietom wstępowania na prawo — teraz podtrzymujemy to samo zdanie.

Wykształcenie prawne kobiety nie daje jej najmniejszej możliwości odpowiedniego wyzyskania nabytych wiadomości, gdyż kobieta - prawnik zatrzymuje się raz nazawsze na jednym punkcie, aby już nie pójść dalej: tym punktem jest egzamin sędziowski; sędzią zaś kobieta już nie zostaje. Zdarzają się już, coprawda, adwokatkę, ale „zdarzają się“ zaledwie—to jest stanowczo za mało.

Dużo odpowiedniejszym jest dla kobiet wydział filozoficzny, który się dzieli na 2 sekcje: humanistyczną i matematyczno - przyrodniczą. Sekcja humanistyczna obejmuje: polonistykę, germanistykę, romanistykę, slawistykę i anglistykę, to znaczy literaturę i język danego narodu. Pozatem: historję, filologję klasyczną, historję sztuki i wreszcie filozofję ścisłą. Dział matematyczno-przyrodniczy obejmuje: matematykę, fizykę, obydwie chemje i przyrodę. Cały ten wydział, jak zaznaczyłam wyżej, jest doskonałym terenem dla naukowej działalności kobiet, łącząc możliwość pracy ściśle naukowej z praktycznym jej zastosowaniem, jakim jest np. nauczycielstwo.

Również dobrym terenem pracy dla kobiet jest medycyna. Wydział ten wymaga rzetelnej pracy, ale też po ukończeniu daje doskonałe wyniki: jest to może jedna z dziedzin, z której kobieta wypiera męczyznę coraz energiczniej. Być może, że chirurgia zawsze pozostanie w rękach męczyzn, ale takie specjalności, jak ginekologja, lub choroby dzieciinne przejdą napewno w ręce kobiet.

Wydziałem, który gorąco poleciłabym kobietom, jest farmacja. Zupełnie bez sensu są wszelkie przymówki o kręceniu pigulek i maści od odcisków. Farmacja wymaga takiego samego porządnego naukowego przygotowania, jak i każda inna dziedzina. Znając jednak siłę kobiecego snobizmu, sądzę, że właśnie to tak zwane „pigularstwo“ odstręcza niejedną młodą dziewczynę od studjowania tego przedmiotu, mającego świetne warunki przyszłego rozwoju.

Opłaty w wyższych uczelniach państwowych wynoszą około 100 złotych rocznie; w prywatnych zaś mniej więcej 300 złotych.

Oprócz uniwersytetów istnieje jeszcze w Polsce pewna ilość akademij i instytutów, jak: Państwowa Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie (ul. Kochanowskiego 67), Instytut Dentystyczny, oraz Instytut Pedagogiczny w Warszawie.

Jak widzimy, wyższe szkolnictwo w Polsce jest w ten sposób zorganizowane, że każdy rodzaj zdolności i zamiłowań może sobie znaleźć odpowiedni wydział dla studjów. Trzeba tylko pomyśleć, a co najważniejsze—spójrzeć na naukę nie z punktu widzenia—zabicia czasu—ale z punktu jaknajpoważniejszego ustosunkowania się do wiedzy.

Zofja Miszewska.

## O GOŚCINNOŚCI COŚ-NIECOŚ

Z cyklu „Na tle obyczajowości w Anglii“.

O przysłowiowej gościnności słowiańskiej, w szczególności staropolskiej—wie się niejedno na szerokim świecie—o gościnności anglosasów? owszem, słyszy się u nas często, że Anglicy są raczej bardzo mało gościnni i tracą dużo w porównaniu z innymi nacjami.

Jak jest w rzeczywistości?—przyjrzyjmy się...

W kraju, w którym najmniejsze bodaj mieszkanie dwupokojowe (flats) posiadają kuchnię, łazienkę — w suterrenach, a na piętrze—niezbędny pokój gościnny; w kraju, w którym odwiedzanie się wzajemne przyjaciół i znajomych zakorzenione jest głęboko nie tylko w sferach uprzywilejowanych pod względem materialnym (jak to się dzieje u nas), lecz w najszerszych warstwach społecznych; gdzie Week-endy (wizyty przy końcu tygodnia—w sobotę, niedzielę) stały się, że tak powiem, chronicznym zjawiskiem, bez względu na sezon, stan atmosfery i porę roku — odmówienie obywatelom podobnego kraju cech gościnności — równałoby się nonsensowi. Każdy się z tem zgodzi.

Że gościnność ta na zgoła odmiennych wspiera się kanonach—to sprawa inna. Niewiadomo, zresztą, która z tych rodzajów gościnności jest bardziej do rzeczy i bardziej racjonalna. Zaznaczam zgóry, że ani myślę podważać, lub poddawać analizie nasze wiekowe tradycje; pragnę tylko porównać pewne zjawiska społeczne tu i tam.

Słowianin, przybywający poraz pierwszy w gościnę na wyspę trzeźwego Albjonu, pełen natychmiastowej gotowości serdecznego, pełnego wylania uczuć, współzycia z cudzoziemcami—zostanie niechybnie rozczarowany postawą Anglików, jako gospodarzy.

Zwyczajny gość w domu angielskim nie staje się zaraz na poczekaniu, według słów prastarego naszego przysłowia, tym „bogiem“, pierwszą osobą, do której skupia się uwaga, pieczołowitość i starania wszystkich domowników, nie wyłączając nawet

najmłodszych latorośli. Nie przerywa, bodaj na krótko, toku spraw codziennych gospodarstwa, ani też nie wytrąca z równowagi ściśle wytkniętego porządku dnia. Nie staje się też zaraz kimś takim, kogo trzeba bawić, zamęczać rozmową, nie spuszczać z oczu, nie dać tchnąć samemu; aż na ostatku zakarmić na śmierć, aby ledwo zipał, wszyskiem, co jest najlepszego w domu, i, odstąpiwszy mu własny pokój, łóżko, kołdrę, poduszkę, szafę, bał nawet pantofle czy szlafrok — odetchnąć wreszcie całą piersią po zadoścuczynieniu wszystkim najsurowszym wymaganiom gościnności staropolskiej.

O czemś podobnem nic nie wiedzą, a zapewne i wiedzieć nie zechcą, anglosasi. A przecież trudno znaleźć drugi podobny kraj na globie, gdzieby się odwiedzano tak często i ochoczo, jak właśnie w Anglii!

Istne pospolite ruszenie mieszkańców wyspy, wszystkich klas społecznych, przy końcu każdego tygodnia, w wigilję każdego święta, nie mówiąc już o parodniowych urlopach! Trudno też spotkać innych obywateli globu, którzyby posiadali podobną sprawność w podróżowaniu, jak anglicy. Wyćwiczeni i wydyscyplinowani, potrafią wyekwipować się na najmniejszą przejażdżkę z taką praktycznością i przezornością, że męcząca zazwyczaj podróż odbywa się w warunkach, mało powiedzieć, wygodnych. Każda angielska i angielska posiadają też we własnym majątku cały szereg walizek, neseserów i przyrządów podróżnych, obmyślonych z całą precyzją. Wnętrza tych „boxes“ i „baskets“ — to nielada łamigłówka dla niewtajemniczonych, pragnących wyładować zawartość; to rogi obfitości, zawierające całe ruchome gospodarstwo: lilipucie kuchenki, zastawy stołowe, przyrządy do pisania; dalej rozmaite poduszki gumowe, worki, koperty z materiałów nieprzemakalnych itd. itd., na wypadek noclegu pod gołym niebem. Dodajmy jeszcze do tego śliczne, jak zabawki, apteczki podręczne, małe ambulatorja, w przewidywaniu katastrofy, czy niespodziewanej choroby w drodze.

Prócz tego wszystkiego szanujący się Anglik nie wyruszy w gościnę bez własnych przyrządów sportowych (zależnie od sezonu i pogody), wiedząc aż nadto dobrze, że w każdym domu prywatnym, hotelu, czy pensjonacie, zaraz po przybyciu zostanie wciągnięty do jakiegoś match'u, mając zawsze na zawołanie gotowych do zapasów, przygodnych partnerów (tennis, golf, hockey, foot-ball).

Nieznane są w Anglii gremjalne, a niespodziewane najazdy najbliższej bodaj rodziny, spadającej nieraz, jak śnieg na głowę, ze wsi do miasta, czy też odwrotnie, wywracającej cały dom dogóry nogami i już napewno rugującej nawet sędziwych domowników z ich pokoi, łóżek i przyzwyczajęń. Rzecz niebywała! od czego przecież jest poczta, telegraf, telefon?

Uregulowane, ujęte w żelazne karby stosunki towarzyskie, a nawet rodzinne, w państwie brytyjskiem nie przysparzają nikomu kłopotu, nie wyłączając na-

wet służby domowej, która wykwalifikowana i despotyczna, nie zrezygnuje za żadną zapłatę ze swego dnia, a nawet godzin wypoczynkowych.

Zresztą najbardziej rozgałęzionym stosunkom towarzyskim stanie się zadość, gdy co tygodnia będzie się gościło u siebie po parę osób, tyle tylko, aby zarówno gościom, jak i gospodarzom było wygodnie, a więc, co idzie z tem w parze — przyjemnie.

Według stawu grobla — zamożni ludzie, mieszczący się we własnych apartamentach, willach, czy pałacach wiejskich, posiadający od 5 — 10 pokoi gościnnych i specjalnie donajmowaną służbę przy końcu tygodnia — przyjmują oczywiście u siebie w weekend naraz kilkanaście osób. Charakterystycznym jest fakt, że pani domu, po odpowiedniemu skomunikowaniu się z przyjaciółmi, postara się o utrzymanie liczebnej harmonji pomiędzy płcią piękną i brzydką. Tyleż musi być ladies, co i gentlemenów, ułatwi to, bowiem, znakomicie gospodarzom zabranie swych gości na dancing, na partję tenisa, na wycieczkę jachtem. Każdy gentleman, przyjeżdżający do domu rodzinnego, wie dobrze, że czekają nań pewne towarzyskie obowiązki: posadzony przez panią domu przy tej lub innej [lady, czy miss — staje się, że tak powiem, jej chevalier sans reproche, partnerem wszystkich zabaw i gier towarzyskich na przeciąg paru tych dni. Do niczego to nie obowiązuje, zarówno damę, jak i gentlemana. Odwożąc nawet swą przygodną towarzyszkę po skończonym weekendzie, własnym autem, do jej domu — może się nie spotkać z nią nigdy więcej, albo, oczywiście... może szukać okazji spotkania się z nią znowu jaknajprędzej.

Guest angielski — przybywający w odwiedzinę do przyjaciół, czy znajomych, po błyskawicznym przebraniu się z kostjumu podróżnego — oddaje się do dyspozycji gospodarzy. Razem z domownikami weźmie ochoczo udział we wszystkich zatrudnieniach domowych; wyruszy razem z nimi na zamierzone partje tego lub innego game'u, asystując nieraz biernie na kortach, jako widz (jeżeli nie złoży się dlań partja), bał pojedzie nawet ze swymi przyjaciółmi, jako „członek rodziny”, na krótką, oficjalną wizytę w sąsiedztwo, a w niedzielę, od wczesnego rana wspólnie z domownikami weźmie udział w przygotowaniach na większą skalę do wycieczki nad morze, czy jezioro (połów ryb), na polowanie w sezonie, — czyszcząc (dosłownie) i naoliwiając benzynowe rumaki, zaopatrując koszyki w prowizję, naprawiając i reperując rozmaite przyrządy podróżne.

Jednem słowem — żyje życiem i przyzwyczajeniami danego domu, odrywając się najzupełniej od własnych spraw, trosk, interesów, i... w tem tkwi zapewne talizman zupełnego wypoczynku.

Odświeżony, żegnany serdecznie w poniedziałek rano, obdarowany ciętymi kwiatami, czy wyjątkowymi okazami owoców, lub jarzyn (nowalje) z ogrodu, zaopatrzony na drogę w nieodzowne sandwich'e i keksy —

zaprosi stanowczo gospodarzy do siebie, omawiając strict godzinę i dzień ich przyjazdu.

W tym wypadku wiek, stanowisko, płeć — nie grają najmniejszej roli. Młoda dwudziestoparoletnia dziewczyna, pracująca samodzielnie w biurze i mieszkająca w pensjonacie, lub zamożna miss, posiadająca własny apartamencik w domu rodziców — ma zupełne prawo zaprosić do siebie swoich znajomych, jako rewanż, gdy się bywa u nich na week-end. Panna wybiera dzień w tygodniu, gdy jest mniej zajęta, i zaprasza przyjaciół z prowincji na faworyzowaną herbatkę poobiednią, „five“, do cukierni, hotelu, ogrodu miejskiego. Miss nie tylko płaci za podwieczorek, składający się zawsze z jednych i tych samych przysmaków (sandwich'e, toast z marmeladą, keksy) i wynoszący wszędzie mniej więcej 1 szylinga na osobę (2 zł.), ale zaprasza rewizytujących ją znajomych na koncert poobiedni, na wystawę obrazów, czy kwiatów itd., wystarawszy się poprzednio o bilety. Nie wolno najbardziej nawet sędziwej, czy utytułowanej parze — odmówić młodziutkiej przyjaciółeczce przyjemności rewanżu towarzyskiego. To samo się dzieje z młodym człowiekiem, bynajmniej nie starającym się o rękę córki, czy siostry przyjaciół z prowincji, który raz na kilka tygodni zaprosi cały dom do miasta, na obiad do pierwszorzędnej restauracji, na wyścigi, do miejskich klubów sportowych na turnieje, lub do teatru, płacąc za wszystko. Oczywiście, należy do dobrego tonu, aby młodzież (a szczególnie panny) rewanżowała się skromniej od ludzi żonatych i na stanowiskach.

Ta forma rewizytowania prowincji i wsi w klubach, restauracjach i cukierniach miejskich, podczas rozmaitych tych garden-party, dinner-party, bridge-party — rozpowszechniła się bardzo w towarzyskim życiu anglosasów po katastrofie wielkiej wojny. Nawet zamożne domy londyńskie wybierają chętnie ten sposób przyjęcia gości „u siebie“, bawiąc się ochoczo wraz z rewizytującymi w restauracjach i klubach, oszczędzając sobie kłopotu i wysiłków.

Zwyczaj ten, wobec stałego kryzysu mieszkaniowego i braku odpowiednio wykwalifikowanej służby — byłby napewno bardzo pożądanym i u nas, gdybyśmy mieli odpowiednie eleganckie, a skromne i nie zdzierające skóry z gości — restauracje i hotele!

H. S.



## PLOTKA

Kobieta ma stopę małą,  
a język wiorstowy,  
który ją oszpecił całą,  
choć ma stopę bardzo małą.

Jak i kiedy to się stało,  
spytaj białogłowy —  
kobieta ma stopę małą,  
a język wiorstowy...

Nie wiem, czy idąc za radą poety chińskiego, dotarłaby ludzkość do jądra tej odwiecznej bolączki. Naco, bowiem, „pytać białogłowy“, kiedy wiadomo zgóry, że nie zdoła nam dać rzeczowej odpowiedzi. Jak i kiedy to się stało? Któż wie, któż spamięta? Kiedy z pokolenia na pokolenie przychodzą na świat jednostki, dziedzicznie obciążone, z zarodkiem szkodliwej, destrukcyjnej i okrutnej nieraz choroby, która wypowiada się w niezdrowym zamiłowaniu do plotkowania.

Naogół zarzut ten obciąża przeważnie kobiety. Prawda, że typ przedwojennej, najczęściej próżnującej niewiasty był równocześnie idealnym typem plotkarki. Bezczynność jest bowiem terenem, na którym wszelka plotka rozrasta się najwspanialej, niczem bakterja, zasilona intensywną pożywką. Dzisiaj, jak bezstronnie stwierdzić należy, bezczynność staje się raczej sporadycznym przejawem, niż punktem ciężkości egzystencji kobiecej. Czy jednak odbija się ten zwrot ku lepszemu na samem mniej intensywnem rozrastaniu się plotki?

Nie. Weszła ona tak zasadniczo w krew, tak głęboko zapuściła korzenie, że o wyplenieniu jej samorzutnem, bez współdziałania zrozumienia całego zła i ohydy, jakie niesie ze sobą, bez podstawowej i poważnej pracy nad zdławieniem jej — mowy nawet być nie może.

Gorszym daleko objawem jest fakt, że plotka i wersja nie tylko nie straciły nic na swej sile, ale przeciwnie: zaanektowały sobie i anektują z dnia na dzień coraz rozleglejsze tereny. Fakt ten daje się poniekąd wytłumaczyć tem, że z zamieraniem życia towarzyskiego, któremu ewolucja warunków w dobie powojennej wymierzyła dotkliwy cios w samo serce — plotka musiała, chcąc nadal panować, wynaleźć sobie pole działania, skoncentrowane nie w dawnym salonie. Dlatego też, wydarłszy się raz poza ramę, w jakiej rosła bezkarnie przed wojną, nabrała rozpędu i nie zna już dzisiaj granic dla swego, niczem nieparalizowanego, lotu.

Jeżeli porównamy oblicze plotki przed i po wojnie, musimy przyznać, że wydoskonaliła się należycie. Dawniej wystarczał jej teren niewielki. Przeżycia, skandale i skandaliki towarzyskie — rzeczy, do jakich dzisiaj nie przywiązuje się wielkiej, a czasem zgoła żadnej wagi. Nieporozumienia małżeńskie, flirty i zdrady, przekroczenia pewnej granicy nakazów *savoir*

vivre'u, wazkie i tylokrotnie roztrzasane, komentowanie sprawy dobranych, czy niedobrych małżeństw, nad wyraz żywotna kwestja służby domowej—ten cały niewinny świat, dostarczający karmy przedwojennej plotce—znikł z powierzchni ziemi. Dzisiaj plotkowałyby się daleko zapamiętały o tych, którzy doceniają takie tematy, niż na takie tematy! Zmalały one szczęśliwie, czy nieszczęśliwie, zeszyły do zera. Dlatego też plotka żeruje na terenie innym, daleko poważniejszym: na terenie społecznym i politycznym. Burzy, ośmiesza, wyrządza niczem niedające się wyrównać i załagodzić krzywdy, a przytem poczyna sobie swawolnie, z niewinnym uśmiechem, i sączy truciznę tak, jakby częstowała słodkim cukierkiem.

Najszkodliwsza i najbardziej godna napiętnowania jest plotka, kolportowana przez prasę. Dociera ona bowiem do szerokich mas, roznosi się po świecie. Objaw ten—szczególniej w ostatnich czasach, a specjalnie w momentach znamienych, kiedy poniekąd wazą się losy kraju, czy też przodujących jednostek—zaostrza się i nabiera wszelkich cech doskonałości. Cóż z tego, że wiadomość zostaje odwołana, kiedy niema takiej siły, która pozbawiłaby ją destrukcyjnego działania? Z plotki, najoficjalniej odwołanej, zostaje zawsze coś, co przylega nieodwołalnie, co brudzi i kala. Ma ona przedziwny dar docierania do ludzi z szybkością strzały, gdy krzywdzi — rehabilitacja, przeciwnie, posuwa się swoistym krokiem żółwia.

Sjamską siostrą plotki jest wersja. Nie tak zdecydowana i pewna w swoich twierdzeniach, jednak również szkodliwa i przylegająca do dobrej sławy ludzkiej, brukająca ją nieraz nieodwołalnie—należy także do naszych społecznych bolączek. Zaczyna się od słowa: p o d o b n o... a podawana z ust do ust, rozrasta się, nabiera właściwego kolorytu i—obciąża, a co gorsze, niejednokrotnie ośmiesza. Z poważnego, najbardziej nawet uwłaczającego zarzutu, jeżeli oparty jest na nieprawdzie — oczyścić się można — ciężaru śmieszności nie zrzuca się z bark tak łatwo! Pozostaje on długo, bardzo długo, a nieraz całe życie. Krzywdę, jaką wyrządza plotka lub wersja, czyjś kosztem ukuta, pogłębia jeszcze twierdzenie, które zdobyło sobie wazność prawa, jakoby w każdej plotce było ziarno prawdy; dlatego też przed puszczeniem w obieg wiadomości, uwłaczającej czyjejsz czci, trzeba bacznie się poważnie z konsekwencjami, które są, bądź co bądź, nieodwołalne.

Kiedys ukazała się w prasie wiadomość, jakoby w niewielkiem jakimś miasteczku Prus Wschodnich ludność, oburzona na grono wytrawnych plotkarek, które siały niezgodę i pobudzały do waśni swoją złośliwą i niecną obmową, sama wymierzyła sobie sprawiedliwość i to w sposób tak dotkliwy, że podsądnym odechciało się raz nazawsze niezdrowej rozrywki, jakiej im dostarczało szarpanie cudzej czci i wywoływanie rozdzźwięków pomiędzy ludźmi. Lekarstwo skuteczne, jednakże trudne do zastosowania wobec

całego społeczeństwa, tem więcej, że dzisiaj nie można już przypisać jedynie kobietom destrukcyjnej roboty, o jakiej tutaj mowa. Różgi, jako następstwo lubowania się w plotkowaniu i szarpaniu czci ludzkiej spaść musiałyby, niestety, często na plecy, tak pozornie godne szacunku, że ręka chłostającego musiałaby się zatrzymać, chociażby w przewidywaniu nieuniknionych represyj, jakie byłyby następstwem publicznego piętnowania tuzów.

Gdzie zatem szukać lekarstwa? Znów tak, jak zresztą zawsze tam, gdzie mowa o plenieniu ryczałtowych bolączek—jedynie i tylko w racjonalnem wychowaniu młodego pokolenia. Dorosłych nie oduczmy już od przywary, z jaką niemal przyszli na świat, i którą od lat kultywowali, nie rozumiejąc nawet, ile robili i robią złego. Ale wszczepiając dzieciom naszym od pierwszych dni, kiedy rozumieć i mówić zacząną, wstręt do szerzenia sensacji, do zaspakajania ciekawości roztrząsaniem spraw cudzych, do wdzierania się poza zamknięte drzwi cudzego domostwa i cudzej duszy, aby wywlec stamtąd na światło dzienne usterki, bolączki i wszystko to, w co wglądać nie mają prawa—osiągnien.y niezapreczenie cel i przyczynimy się do uzdrowienia wstrętnych stosunków doby obecnej.

W pojęciu dziecka, chowanego w zasadach poszanowania cudzej własności, odarcie kogoś ze czci bezmyślnem, lub świadomie okrutnem słowem, powinno być stawiane narówni z przywłaszczeniem sobie cudzego dobra, — z prostem złodziejstwem. Wpajając dzieciom pojęcie, że do spraw cudzych niepytanym i nieproszonym wtrącać się nie wolno, tak, jak nie wolno wdzierać się do zamkniętego prywatnego ogrodu, lub sięgać po owoc, kwiat, czy jakikolwiek inny przedmiot, do którego pozostawiono wolny dostęp, a po który jednak ręka chociażby przeciętnie uczciwego człowieka nie wyciągnie się nigdy, będziemy miały i my i całe nasze otoczenie jeszcze i tę korzyść, że powoli wyćwiczymy się sami w tej cnotce wstrzeźliwości, która, w imię solidarności z głoszonemi zasadami stanie się czasem częścią naszego własnego ja. Rozpoczynając tę walkę z okrucieństwem bezmyślnego, lub rozmyślnie złego słowa, pozwoliłam sobie przytoczyć ironiczny wierszyk chińskiego poety, który pomawia jedynie nas, kobiety, o zbyt jaskrawą różnicę pomiędzy wielkością naszych drobnych stóp, a „wiorstowych języczków“, niech mi więc będzie wolno na zakończenie zwrócić się słowami hinduskiego myśliciela do przedstawicieli obojga płci, prosząc o głębokie wniknięcie w prawdę, która głosi:

Słowo, choć nie z głazu,  
może rozbić kości  
i zmiażdżyć odrazu,  
choć nie jest z głazu..  
Złego więc wyrazu  
chroń się, zwłaszcza w złości —  
słowo choć nie z głazu,  
może rozbić kości.

W. D.

## PODWIECZOREK W MAJU

Niech mi młoda gospodyni, która zaszczyliła nas swem zaufaniem, wybaczy znaczne opóźnienie z odpowiedzią. Obszerny opis różnych podwieczorków, na wszelkie sytuacje, jakie przewidzieć mogłam, wysłałam 30/IV z Poznania—i oto—wbrew ustalonej opinii solidności i akuratności poznaniaków—list ten, adresowany do redakcji „Bluszczu”, zaginął bez śladu. — Mieścił on, oprócz samego planu podwieczorkowego, różne ciasta i ciastka sezonowe, dające się do takiego przyjęcia zastosować. Jedno mnie tylko w tem niepowodzeniu pociesza, a mianowicie: ohydna pogoda i chłody, obecnie panujące, wobec których wszelkie podwieczorki majowe,—a takie, żeby były udane, powinny nieodzownie być urządzone na świeżem powietrzu, — zapewne będą odłożone na czerwiec, — o ile nam znów polonofobski Golfstrom figla nie spleta i jeszcze bardziej nie ostygnie.

Otóż Maj jest miesiącem krytycznym dla gospodyń. Zapasy zimowe skończone, lub na ukończeniu, a nowalijek letnich jeszcze mało, i jeżeli są, to same jarzyny tylko — owoców żadnych, chyba jedno rabarbarum, które, nie będąc nawet jarzyną, często owoce, i to dobrze, zastąpić może. Natomiast obfitość jaj i nabiału, a ten ostatni w maju jest najsmaczniejszy, daje możliwość zrobienia różnych wybornych ciast z kremem.

Nie znając warunków materialnych osoby, która ma urządzać przyjęcie, trudno jest dyktować jadłospis — tembardziej, że ten ostatni jest jeszcze zależny od szeregu innych okoliczności. Przedewszystkiem więc od tego, czy podwieczorek jest specjalnie proszony, czy też goście nań niespodziewanie się zjechali. Czy są to swoi — bliscy sąsiedzi, z którymi się nieomal codzień widzujemy, krewni, przyjaciele, bawiący u nas czas dłuższy, czy też bardziej etykietalni znajomi, których rzadko u siebie gościmy. Nie radzę, broń Boże! dawać w pierwszym wypadku coś gorszego, mniej smacznego, mniej starannie przyrządzonego, — tylko różnorodność przysmaków podawanych może być mniejsza i one same — skromniejsze. Mówię: przysmaków — gdyż podwieczorek z natury rzeczy z samych prawie przysmaków zwykle się składa. Nie jest on właściwie solidnym posiłkiem, jak obiad, śniadanie, kolacja — lecz smakowitą przekąską, lekkiem zaspokojeniem głodu po przejażdżce, lub przedmową do dużego wydania, jakiem bywa na wsi kolacja. Bywają jednak wypadki, a mianowicie: kiedy goście, stale u nas bawiący, odjeżdżają na kolej, lub też dalsi sąsiedzi nie pozostają na kolacji dla złej drogi, ciemnego wieczoru i t. p., — wtedy podwieczorek może zawierać rozmaite posilniejsze dania. Jeśli taki wypadek się zdarzy, i mamy czas do podwieczorku się przygotować — bardzo dobrym daniem w takim razie są młode kurczęta pieczone z sałatą zieloną, lub

z młodą śmietaną tylko. Jeśli kurczęta są zbyt małe, doskonale je zastąpić mogą młode gołębie, w maju już duże i tłuste. Upiec je należy z nadzieniem z bułeczki z dużą ilością koperku, a będą smakowały wybornie. W Kongresówce i na Kresach Wschodnich zbyt mało dotąd używają tego smacznego drobiu, — Wielkopolska hoduje i spożywa go w dużych ilościach, — przykład, godny naśladowania. Cięższych mięs gorących w żadnym razie nie dawałabym; natomiast, zamiast kurcząt, czy gołębi, lub nawet obok nich — roladę, pasztet z wątróbki, wszelkie wędliny i sery, masło, chleb, bułeczki domowego wypieku. Potem kawa biała i herbata ze śmietanką i z cytryną, wszelkie deserowe ciasta i ciastka; między innymi koniecznie kruche ciasto z rabarbarum (szarlotka), lub jakieś wafle, andruty z kremem. Zamiast nieobecnych jeszcze owoców — kompot z Weck'a, lub jakąś owocową galaretkę, a nawet staroświeckie konfitury ze śmietanką.

Jeśli podwieczorek proszony urządzaemy z racji jakiejś uroczystości — imienin, zaręczyn i t. p. — wszelkie solidne mięsne zimne przystawki są zupełnie nieodpowiednie. W dzień niezbyt gorący — kawa ze śmietanką, lub czarna z likierami, czekolada z kremem i biszkopcikami, herbata ze śmietanką i z cytryną, w dzień upalny — kawa zimna z lodu, czekolada mrożona z kremem; do kawy czarnej, pomiędzy likierami, pepper-mint z lodem. Z napoi oprócz tego wszelkie chłodniki: kruszon lekki, mors, limonjada. Torty rozmaite, — dobra babka lub placek dla osób, nielubiących ciast zbyt słodkich; bezy z kremem, także andruty, lub bardzo delikatne i kruche wafle. Zamiast owoców — różne kompoty konserwowane — domowe z Weck'a, lub kupne z puszek. Wyborną odmianą takich kompotów są kompoty, zalane galaretą.

Nakoniec lody owocowe, czy śmietankowe, lub poncz mrożony mogą zakończyć tę gastronomiczną rewję uzdolnień i pomysłowości gospodyni.

Zaczęłam od rzeczy może trochę zbyt kownych, aby przewidzieć wszelkie ewentualności; teraz będę mówiła o podwieczorkach skromnych, lecz również smacznym. Więc, na przykład: kawa ze śmietanką i domowymi sucharkami. Półmisek andrutów z kremem. Kompot z czereśni z Weck'a, lub też czekolada z bitą śmietanką, biszkopciki domowe do niej. Szarlotka z rabarbarum w kruchym cieście. Sałatka z pomarańcz. Lub też: kawa czarna, do niej likiery i nalewki domowe, herbata ze śmietanką i z cytryną, — bułeczki domowe, chleb czarny, masło z lodu i miód. Biszkopt, lub tort hiszpański z kremem śmietankowym.

Pani Elżbieta.





### ZIMNY KLOPS

Pół kilo cielęciny i pół kilo przerastałej, młodej wieprzowiny przepuścić dwa razy przez maszynkę do mięsa. Drugi raz mieląc, dodać trzy bułeczki, warszawianki, rozmoczone w mleku. Dodać dwa jaja, garstkę siekanego, zielonego koperku, lub, kto ten zapach woli, kwiatu muszkatołowego. Wyrobić doskonale, aż, jak ciasto, od ręki odstawać będzie, posolić na ostatku, aby mięso nie szcerwieniało. Uformować długie bochenek, utarzać w mące, zrumienić ze wszystkich stron na maśle, szmalcu, lub fryturze i piec, polewając tłuszczem z odrobiną wody, około godziny. Nakoniec polać kwaśną śmietaną, posypać tartą bułeczką, jeszcze raz zrumienić powierzchni i wyłożyć na półmisek. Krajać dopiero nazajutrz w cienkie plastry i podawać z sałatą zieloną, sałatkami jarzynowymi, lub też z sosem majonezowym, tatarskim itp. To skromne, oszczędne danie, starannie przyrządzone, wybornie smakuje i może zastąpić kosztowne roлады i galantyny.

### WĘGORZ SMAŻONY

Co do tej wybornej ryby, istnieje przesąd, że jest ona niestrawna. Oczywiście, osoby o słabym trawieniu nie powinny jej jadać, jak wszelkich, zresztą, innych dań tłustych. Dla ludzi zdrowych, o normalnym trawieniu, węgorz jest stanowczo nieszkodliwy. Oczyścić węgorza, jak zwykle, nie zdejmując zeń jednak skóry; ugotować przekrajanego na trzy długie kawałki w smaku z włoszczyzny i korzeni. Będziemy z tego mieli wyborny rosół, najlepszy ze wszystkich zup rybnych. Węgorza ostudzić, pokrajać na dzwonek grubości trzech centymetrów, utarzać w mące, w rozbitym jajku, nakoniec w tartej bułeczce. Smażyć na tychmiast na szmalcu lub fryturze, w dużej ilości rozpuszczonej na patelni. Jeśli chcemy koniecznie użyć masła, to dodajemy do niego oliwy nicejskiej lub bordoskiej, gdyż masło samo przypali. zanim się ryba dosmaży. Osączyć z tłuszczu, układając na minut parę na bibule. Ułożyć w piramidę na półmisku, pokrytym serwetą. Ubrać gałązkami pietruszki. Oddzielnie podać gorący sos rumiany z kaparami, lub musztardowy.

### TORT WIOSENNY

Z pół kilo mąki, ćwierć kilo masła lub szmalcu i paru łyżek cukru zagnieść kruche ciasto, rozwałkować cienko i upiec z tego sześć równych krążków rozmiaru talerza. Kilo rabarbaru oczyścić, pokrajać w kostkę. W rondelku zagotować szklanke wody i czterdzieści deka cukru, dodać rabarbarum, gotować, aż się stanie przezroczyste i syrop weń wsiąknie, ostudzić. Pięć krążków posmarować równo tą mar-

meladą, przykryć szóstym, przycisnąć deseczką i ciężarkiem, pozostawić tak na całą noc. Nazajutrz ubić szklanke śmietany lub śmietanki na krem, zmieszać z dwiema łyżkami cukru, utłuczonego z wanilią, ułożyć ten krem na torcie i podawać.

### ANDRUTY Z KREMEM

Dwadzieścia deka masła tłustego utrzeć na śmietaną, dodać tyleż cukru pudru, ucierać dalej, wbijając po jednym cztery żółtka i trochę skórki cytrynowej, lub utłuczonej wanilji dla zapachu. Dodać trzydzieści deka mąki pszennej, przesianej, i nakoniec cztery białka, ubite na sztywną pianę. Wygrzać żelazko do andrutów, wysmarować masłem, kłaść na nie po łyżce ciasta, piec z obu stron na gazie, lub płomieniu drzewnym: na węglu łatwo się przypalają. Ciasto to jest tłuste, więc jednorazowe wysmarowanie formy wystarczy. Po zdjęciu, zwiąć każdy andrut w kornet. Gdy wszystkie upieczone, ubić z litra śmietanki lub śmietany krem, zmieszać z piętnastoma deka cukru-pudru, utłuczonego z wanilią; połową tego kremu nałożyć andruty, kładąc w środek kremu po wiśni lub malinie. Drugą połowę kremu ułożyć na półmisku w piramidę, obłożyć wkoło andrutami i podawać zaraz, by ciastka nie odwodniały.

### MARCEPANIKI POMARAŃCZOWE

Dwadzieścia deka migdałów słodkich sparzyć, oczyścić z łupinek i utłuc jaknajdrobniej w dużym moździerzu, najlepiej kamiennym. Cztery deka skórki pomarańczowej, smażonej w cukrze, osączonej z syropu, pokrajać jaknajdrobniej, dodać do migdałów i tłuc dalej, dodając czterdzieści deka cukru i dwa białka. Białka należy dodawać potrochu, aż masa się zrobi pulchna. Formować z niej ręką gałeczki, rozmiaru małego włoskiego orzecha, lub też rozwałkować na stolnicy, przyprószonej cukrowym pudrem, i wykrawać foremką różne figurki. Blachę wysmarować woskiem, poukładać na niej marcepaniki i wstawić do zupełnie letniego pieca, aby tylko obsuszyć.

### INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA Dr. J. Świtalskiej.

#### DZIAŁY:

- 1) **Chirurgiczny** — wszelkie zabiegi chirurgiczne z dziedziny plastyki kosmetycznej: a) operacje plastyczne twarzy, b) usuwanie tłuszczu z jamy brzusznej, c) poprawianie kształtu biustu, d) wszelkich deformacji kończyn, e) usuwanie żyłaków i t. d.
  - 2) **Wewnętrzny**: — wskazówki ogólnohigieniczne, jak należy żyć, odżywiać się i t. d., żeby zachować zdrowie i młodość.
  - 3) **Kobiecey**: — a) choroby kobiece b) niedomagania organów płciowych kobiecych.
  - 4) **Skórny**: — leczenie włosów, wad cery i t. d.
  - 5) **Kosmetyczny**: — a) wskazówki pielęgnacji twarzy, włosów i poszczególnych części ciała, b) zabiegi kosmetyczne (masaże, maski i t. d.).
  - 6) **Ćwiczenia gimnastyczne**: — dla utrzymania zdrowia, harmonji ruchów, smukłej linii i t. d., prowadzi p. Tańska Marja pod kierunkiem lekarza.
  - 7) **Gimnastyka lecznicza** (p. Tańska Marja pod kierunkiem lekarza). — a) przy obstrukcji, b) złej przemianie materji, c) otłuszczeniu i t. d.
  - 8) **Światło-lecznictwo**: — usuwanie brodawek, włosów, leczenie zapomocą światła: odmrożeń, piegów i t. d.
  - 9) **Laboratorium higieniczno-kosmetyczne** — podług przepisu Dr. J. Świtalskiej: — kremy, pudry, mydła i t. d.
- Sekretariat instytutu: — Kruca 31 m. 3, tel. 102-77  
od godz. 5 — 7.**

WIANUSZKI Z „ZYDKÓW”

Dwadzieścia deka „żydków” pokrajać ostrym nożem na cienkie paski i dopiero wtedy uprażyć je w piecu do zrumienienia (zrumienione w całości nie dałyby się krajać, gdyż stają się kruche). Dwadzieścia deka cukru-pudru utrzeć z dwoma białkami na gęsty lukier; gdy już tak utarty, że łuska pod wałkiem, wcisnąć sok z pół cytryny i domieszać pokrajane orzeszki. Na opłatku, położonym na blasze, posypanej mąką, układać łyżeczką zgrabne wianuszki, wstawić w bardzo letni piec i raczej je wysuszyć, niż upiec. Przechowywać w hermetycznie zamkniętym szklanym słoju. W smaku nie ustępują wianuszkom migdałowym.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Chcąc, aby kwiaty świeże nieprędko zwiędły, rozpuścić w wazonie małą tabletkę aspiryny. Do kwiatów na mięsistych łodygach, jak np. tulipany, które lubią prędko zwieszać główki, dobrze jest wsypać do wody trochę krochmalu.

\* \* \*

Zegar-budzik da się zastosować nie tylko do budzenia nas ze snu, może stać się użytecznym przy zażywaniu lekarstwa, przy zajęciach gospodarskich np.: jeśli wsadzimy ciasto w piec i zajmiemy się czymś innym—przypomni nam, że trzeba zajrzeć do pieca, i w wielu innych wypadkach okaże skuteczną pomoc naszej słabej pamięci.

„ZIMNE NAPOJE”

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KRUSZONÓW, LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Jak kupuje dobra gospodyni”

NAUKA PRAKTYCZNEGO I RACJONALNEGO ROBIENIA ZAKUPÓW

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KORESPONDENCJE

Wszystkim naszym czytelnikom, zapytującym listownie o adresy szkół rozmaitego typu, warunki przyjęcia kwalifikacje i t. d., komunikujemy, że począwszy od tego numeru zamieszczać będziemy cały cykl artykułów poświęconych wykształceniu zawodowemu kobiet, w których podawać będziemy wszelkie informacje tego rodzaju.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:  
palto, lub suknia fantazyjna . . . . . zł. 3.50  
suknia zwyczajna . . . . . „ 2.50  
bluzka . . . . . „ 2.00  
formy dzieciinne . . . . . „ 2.00  
bielizna . . . . . „ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:  
obrus — makata — ekran — zł. 1,50, poduszka — serwetka — zł. 1., drobne desenie — gr. 50.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wysyłamy

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek i Higjenistek w Krakowie otwiera nowy kurs d. 1 września b. r. Nauka trwa 2 lata. Przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie conajmniej 6 klas gimnazjalnych lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjenistek—Kraków, Kopernika 23.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.